*Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się*

# NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł – 8 stron | Warszawa, 7 grudnia 1952 r. | Nr 49 (141) Rok III

Szkoła Ekono. Biblioteka Główna WYŻSZA w Sopocie

## *Na Dzień Górnika*

*Jak co roku — dnia 4 grudnia górnicy polscy obchodzą swoje święto. Na ulicach miast i osad śląskich pojawiają się w czarnych mundurach, z białymi, czarnymi i czerwonymi pióropuszami na czakach — poprzedzani przez orkiestry dęte. Zasłużeni górnicy po wielu latach pracy na kopalni uzyskują w tym dniu odznaczenia i premie, zegarki, które potem przechodzą z ojca na syna.*

*Jak co roku wspominamy długą drogę górnika śląskiego poprzez wieki. Od pierwszej polskiej górniczej ustawy Ordunku Gornego Jana Opolczyka z roku 1528 — do Karty Górnika, uchwalonej i realizowanej przez rząd Polski Ludowej, droga była nie tylko długa, ale i trudna. Spontaniczne zrywy przeciwko panom właścicielom kopalń niewiele mogły górnikowi pomóc. Ale już w drugiej połowie dziewiętnastego wieku pojawiają się przywódcy. Górnik Stanoszek staje na czele powstania, rozbitego przez Donnersmarcka. W roku 1870 ginie Stanoszek od kruppowskiej kuli, rozstrzelany za propagandę antypruską na napadniętej ziemi francuskiej. Potem, kiedy po wojnie prusko - francuskiej pierwsze grupy socjaldemokratyczne na Górnym Śląsku uczyć zaczną górników i hutników klasowego widzenia rzeczywistości — Stanoszków wyrośnie coraz więcej. Wielkie, zorganizowane strajki — biorące natchnienie z Komuny Paryskiej — zjednoczą górników pod czerwonymi sztandarami w kopalniach fiskalnych i prywatnych.*

*Kapitaliści wydają w tym okresie własnym nakładem zbiory wierzeń górniczych. Nie była to jakaś filantropia wydawnicza. W legendach górniczych Skarbnik czy św. Barbara nakazują posłuszeństwo panu. Rzadko pojawia się legenda-podciep, legenda-wyrzutek, która ustami Skarbnika uczy górnika buntu, kształci go w perspektywach wolności i sprawiedliwości. Tych oczywiście kapitalistyczny wydawca nie zanotował, nie rozpowszechniał.*

*Tymczasem rośnie legenda walki — sprawdzalna poprzez nazwiska, nazwy osad i kopalń, daty lat. Wzbogacają ją powstania śląskie o czyny zbrojne.*

*W międzywojennej Polsce obcy i rodzimy kapitał rozporządza doświadczoną już aparaturą ucisku. Ale i górnik jest doświadczony — w walce. Jeszcze w roku 1938 trzech nieopatrznych dyrektorów kopalń, którzy odważyli się pochwalić „Wspólnotę Interesów", naraża się na nie byle jakie kłopoty. „Wciepnąć tych pieronów do szybu!" — decydują co gorliwsi. Trzeba więc uderzyć w prośby i brzęknąć obietnicami, które nigdy już nie będą spełnione, tak jak zresztą nie były spełniane nigdy również i te obietnice, jakimi usiłowano pozyskać strajkujące tysięczne masy w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku.*

*Górnictwo ma wielkie tradycje. Dawniej w każdą Barbórkę dawano „freibier" po to, by następnego dnia upomnieć się o zapłatę w krwi i pocie. Dzisiaj — w dni zwycięstwa — wspominamy lata ucisku, tradycje walki, ciesząc się pracą górnika, najlepszego obywatela Polski Ludowej.*

*Od Ordunku Gornego po Kartę Górnika, od prymitywnego kilofa do kombajnu, od Stanoszka do Markiewki — n. b. obaj są z tej samej kopalni — od buntów do manifestacji robotniczych w Polsce Ludowej. Oto cała nie napisana jeszcze historia górnictwa, szczytnego zawodu, wspaniałej pracy, największych osiągnięć!*

*Górnikom Polski Ludowej — sława i cześć!*

**Wilhelm Szewczyk**

### W numerze:

**Mirosław Żuławski, Ewa Szelburg, Bogdan Hamera, Artur Sandauer, Jerzy Zagórski** — Spotkanie z książką radziecką; **Henryk Gaworski** — Jesień; **Władysław Machejek** — Trybunał ludowy; **Ryszard Matuszewski** — Czyżby obrona schematyzmu?; **Leonard Borkowicz** — Bunt Francji.

*MARIA RUTKIEWICZOWA*

# SĄ TACY LUDZIE

## *(W dziesiątą rocznicę śmierci Marcelego Nowotki)*

Tego grudniowego dnia lodowe kwiaty na szybach zwarzyły się. Z niepokojem wyglądam nocy i własne moje tchnienie psuje na szybach delikatny rysunek. Ten dzień trwa za długo. Zbyt powoli przechodzi w mrok, rzuca podłużne fioletowe cienie na przeciwległy dom, zapala go różowo i szaro, wreszcie spopiela i sczernia.

Jesteśmy w Moskwie, którą każdy z nas serdecznie pokochał. Ale dziś myślimy o Warszawie. Jeszcze tej nocy będziemy w Warszawie. Myślimy o tym, jak o czymś zupełnie bliskim, a równocześnie niezmiernie dalekim.

Przygotowania do odlotu są już zakończone. Siedzimy — grupa towarzyszy-przyjaciół i myślimy chyba wszyscy o tym samym.

Marian wielkimi krokami mierzy pokój.

*„Ja na tę ziemię powrócę*
*Ja chcę ją zbawić, ocalić..."*

Więc dziś zrealizuje się to, do czego nieugięcie dążył przez tyle długich miesięcy, co krok za krokiem przemyślał i organizował. Wrócić do kraju, tam walczyć. Tam jesteśmy potrzebni.

Samolot czeka. Ściskamy czyjeś bliskie dłonie. Ktoś nas za długo trzyma w objęciach i chowa w ciemności wilgotny wzrok. Szybciej. Szybciej oderwać się od ziemi.

Samolot nabiera wysokości. Chłód przenika coraz głębiej ciało. Grube ubranie, spadochron na plecach, pasy okrążające ramiona i nogi krępują każdy ruch. Leżę na zbiorniku benzyny wpatrzona w ciemność. Przez wylot w suficie wyciągam ku niebu lufę działko lotnicze. Czuję, że wznosimy się coraz bardziej. Przez otwory w samolocie przedostają się chwilami jakieś odblaski reflektorów. Jesteśmy na linii frontu. Odbija się gdzieś w mózgu echo ostatniej instrukcji: nad frontem mogą nas spostrzec. Na sygnał strzału rewolwerowego natychmiast skakać, chociażby na linię ognia.

Temperatura szybko opada, wysokość jest już bardzo wielka. Oddech staje się cięższy, serce pracuje nierytmicznie. W kabinie zalega nieprzenikniony mrok i cisza, którą motor swym groźnym hałasem tylko podkreśla.

I nagle ciszę szumiącego samolotu przebija silny głos Mariana:— Jesteśmy nad Wisłą. Burzą napływają marzenia długich miesięcy: jutro zacznie się walka. Jutro znów będziemy w Warszawie, Warsza... Padł sygnał. — Przygotować się!

Pod nami ziemia upragniona.

Ustawiamy się w przewidzianym porządku. Przede mną Paweł. Dotykam go dłonią — tak, to on. Za mną Marian. Wyczuwam prawie jego wysoką sylwetkę. A dalej inni. Wszyscy nagle jeszcze bliżsi, związani gorącym węzłem przyjaźni-braterstwa.

Samolot obniża się, obniża, zwalnia lot — jak gdyby w miejscu stanął. Drzwi się rozwierają i wpada przez nie granatowy poblask, rzeźbiąc sylwetki ludzi z kamienia — nocy.

Widzę wyraźny ruch stojącego przede mną Pawła, rozrzut rąk i nim zdążę zatrzymać myśli, odrywam się od samolotu i lecę w przepaść. Ogarnia mnie noc. Nagle czuję szarpnięcie, a nade mną rozwija się kopuła spadochronu. Płynę ku górze. Przebiega niedorzeczna myśl: czy wysoko ulecę? W płuca wlewają się strumienie zimnego powietrza, rozpierają klatkę piersiową, mimowolnie wydaję okrzyk. Jedną ręką trzymam sznur spadochronu, drugą staram się lepiej osadzić. Napotykam na rewolwer za paskiem palta, wydobywam go.

Nie wierzę, że skok trwa parę tylko chwil. Odbywam podróż, groźną i porywającą. Straszną i niezapomnianą.

Zaczyna tajać szron z włosów, zamienia się w krople na rozgrzanej twarzy. Miesza się z łzami, które same biegną z oczu niewołane, zawstydzające.

A naprzeciw mnie coraz szybciej biegnie polana wśród lasu, a naprzeciw mnie coraz szybciej biegnie upragniona ziemia polska.

Dobiegła. Z siłą dopadła moich stóp. Pod sobą czuję grudy zoranej ziemi. Silniej przywieram twarzą do zamarzłych brył.

Zamarzłymi rękami zdzieramy z siebie spadochrony i już biegniemy ku sobie. Padamy sobie w objęcia, z twarzami mokrymi, ze zdławionymi gardłami, z których wydostać się może tylko jedno słowo — To Polska.

Trzeba szybko oddalić się od miejsca skoku. Za chwilę ruszamy.

W tę noc wyostrzyły się nasze zmysły. Słyszymy przytłumione zimowe odgłosy uśpionej wsi, szelest nagich gałęzi. Pod nogami pęka szkliwo zamarzłych tafelek lodowych w koleinach, na błocie przydrożnym, na śladach kopyt końskich. Trzaskają pod stopami suche przemarzłe gałęzie.

Trzeba przyśpieszyć kroku. I wtedy wychodzi na jaw największa klęska tej nocy. Marian, o którego drży serce każdego z nas, nie może już iść dalej. Na próżno byłoby ukrywać fakt nieodwracalny. Więc cios otrzymaliśmy ze strony najmniej spodziewanej. Marian złamał nogę. Oparł się o czyjeś ramię. Milczy. Kroki jego stają się coraz cięższe. Sytuacja staje się trudna. Wskroś gęsty mrok patrzymy na jego cierpiącą twarz. Ogarnia nas jedna myśl, którą Marian musi zrozumieć: uratujemy, choćby na ramionach przyszło go nieść.

— Towarzysze — słyszymy głos Mariana — złamałem nogę. Trudno o tym dalej nie mówić. Rozkazuję szybko iść naprzód. Nie mogę hamować waszego marszu.

Nie przyjmujemy tego rozkazu.

— Marianie, nie czas na wielkie słowa. Jesteś nam najpotrzebniejszy, musisz być z nami.

W milczeniu idziemy naprzód. Noga za nogą. Trudno się idzie wśród lasu, dawno zapomnianymi drogami, wśród mroku i śniegu.

Las zaczyna rzednąć. Tu rozstają się drogi. Na lewo droga bliższa, na prawo okrężna przez miasteczko, również prowadzi do Warszawy. Rozbijamy się na dwie grupy. Tego wymaga bezpieczeństwo wyprawy, tak też prędzej zmylimy ślady. Jakże trudno rozstawać się z towarzyszami, jak gdybyśmy mieli już nigdy się nie spotkać.

Żegnamy się z odchodzącymi. Tak, drodzy, spotkamy się w Warszawie. — Adresy? — pamiętamy Koszykowa — u profesora. Żoliborz — u starych towarzyszy, Mokotów — u rodziny, wreszcie u szewca na Stalowej.

Prowadzę Mariana. Paweł będzie nam torował drogę.

Marian stąpa wolno z oczami zapadłymi w głąb oczodołów, ale jest w nim spokój i siła wręcz wyczuwalna.

Droga się plącze. Nigdzie żywej duszy. Jesteśmy znowu w lesie. Wydaje nam się raz po raz, że wracamy na miejsce, któreśmy już mijali. Mrok zaczyna rzednąć, mętnieć. Zaczyna padać śnieg. Za godzinę zasypie wszystkie ślady. Idziemy wolno, uporczywie. Każdy kilometr zdobywamy z trudem. Droga wlecze się bez kresu.

Wzmaga się mróz (czy może tylko nas tak przenika?), palce u rąk i nóg kłują drobnymi igiełkami. Torba w ręku staje się ciężka, zaczynamy z niej wyrzucać przedmioty mniej potrzebne.

Daleki świt rozrzedza czerń nocy. Spoglądam na Mariana i nie wiem, czy to szarość przedświtu, czy to twarz jego zszarzała jak popiół.

Jestem już wyzuta z wszystkich sił. Powieki opadają, idę zakosami, usypiam w marszu. Potykam się. W odpowiedzi słyszę jęk Mariana, to mnie przywraca do rzeczywistości.

Nasza droga znów zbacza w las. Mróz w lesie wydaje się łagodniejszy. Oczy znów się kleją. Boję się, że jakimś fałszywym krokiem znów urażę Mariana. Chcę wołać Pawła, ale nie mogę wydobyć słów. I wtedy słyszę zbawienne słowa: — Trzeba chwilę odpocząć, sprawdzić broń. Jeszcze pomagam usiąść Marianowi, a sama zwalam się na śnieg, z torbą przewieszoną przez ramię, z rewolwerem zaciśniętym w dłoni. I w tejże chwili pogrążam się w sen, najkrótszy i najcudowniejszy sen w moim życiu. Co w nim było nie wiem, ale napięcie całej nocy rozpłynęło się w tych paru chwilach i znalazło próg, za który wyszłam wypoczęta, odwieżona, z nowymi siłami do dalszej drogi.

Już koło południa znaleźliśmy się w punkcie na szosie, gdzie kiedyś mieszkała rodzina Mariana. Cała nadzieja była właśnie w nich. Tu moglibyśmy zaczerpnąć pierwszych wieści o Warszawie, o towarzyszach, o rodzinach. Tu wreszcie moglibyśmy opatrzyć Mariana.

*Rys. Tadeusz Kulisiewicz*

**Marceli Nowotko**

## II OGÓLNOPOLSKI KONGRES OBRONCÓW POKOJU

**W dniu 30 listopada obradował w Warszawie II Ogólnopolski Kongres Obrońców Pokoju, stając się potężną manifestacją nieugiętej woli walki całego narodu o zwycięstwo sił pokoju na świecie. Na honorowego przewodniczącego Kongresu powołany został Wielki Budowniczy Polski Ludowej, Prezes Rady Ministrów Bolesław Bierut. Kongres otworzył Marszałek Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, prezes PAN prof. Jan Dembowski. W toku swoich obrad Kongres dokonał wyboru delegacji polskiej na Kongres Narodów w Obronie Pokoju, który odbędzie się w Wiedniu, oraz wyboru nowego prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, którego przewodniczącym został znakomity pisarz Jarosław Iwaszkiewicz.**

**TADEUSZ KUBIAK**

# O wojnie i pokoju — mój głos

**Wdarli się w bramy wielkie**
**ozdobione herbami**
**miast i w drzwi z podkowami**
**przynoszącymi szczęście**
**mieszkańcom.**

**Cnotę wszelką**
**łamali jak gałęzie.**
**Ze zbrodni najzwyklejszej**
**uczynili rzemiosło,**
**z życia — ciężar nad miarę,**
**zabawę — z śmierci.**

**Wiosło**
**znalezione na brzegu**
**oceanów mówiło**
**o cmentarzyskach fregat,**
**a list bez adresata**
**o pożarze miast całych,**
**a śpiew jeńca w obozie**
**o klęsce wojsk wspaniałych.**

**Wtargnęli w sprawy małe,**
**codzienne, zwykłe, ludzkie,**
**w dom i w ogród, i w skrzynię**
**krakowską pełną wstążek,**
**których nikt już nie zwiąże.**

**I roztłukli naczynia**
**ze szkła, z pociemniałego**
**srebra pogięli, z drzewa**
**rzucili w ogień.**

**Niebo**
**napełnili lamentem,**
**tupotem butów ziemię,**
**rozdartą w głąb okopem,**
**a przecież bose stopy**
**dzieci i dziewczyn w jasność**
**chciałyby biec po ziemi**
**tak lekko, lekko — aby**
**nawet jej nie zadrasnąć.**

**Przez małe miasto pełne**
**balkonów, przez wieś pełną**
**skrzypienia kół i skrzypiec,**
**przez polanę ustronną —**
**przeciągnęli ogromną**
**kolumną czarnych wozów.**

**Wychyleni z żelaza**
**mieli serca kamienne**
**głodnych zwierząt — mordując**
**dzieci polskie w Zamościu**
**i Żydów w Kazimierzu**
**i paląc żywcem chłopów**
**pod Świętą Katarzyną**
**i wszędzie, wszędzie, wszędzie**
**zostawiając nieszczęście.**

**Uczynili to wszystko**
**wbrew i przeciw ludzkości —**
**a przecież tak niewiele**
**potrzeba człowiekowi,**
**ażeby się uśmiechnął.**
**Jakiś promień u powiek,**
**jakiś widok łagodny**
**od obłoków do Wisły,**
**owoc, książka i myśli**
**o przyszłości.**

**A on**
**świat uczynili wstrętnym,**
**czarnym — a przecież ludziom**
**nigdy nie dość jest słońca**
**na oknach i na progach**
**i chodzenia po drogach**
**i patrzenia na bramy**
**dalekich miast — z uśmiechem,**
**z zachwytem takim samym,**
**z jakim dzieci zerkają**
**na liść w wiosennym gaju.**

**Uczynili to wszystko**
**wbrew i przeciw ludzkości,**
**przeciw doli człowieczej.**
**Posłuchajcie co mówią**
**dzisiaj jeszcze — najbliżsi.**
**A nie przeżyli wojny**
**ani u Pana Boga,**
**ni u ludzi za piecem.**

**MATKA**

**Trzech żegnałam.**
**Jednego witałam.**

**OJCIEC**

**Oddałem**
**wszystko co miałem —**
**życie.**

**ŻONA**

**Odebrano nam**
**najlepszy czas**
**miłości.**

**PRZYJACIEL**

**Pół roku uczyłem**
**lewą rękę pisania.**

**Każdy ma ojca, matkę,**
**żonę, czy przyjaciela.**
**Przeto nieszczęścia ludzkie**
**można pomnażać.**

**Ale**
**można także ukazać**
**milion twarzy, na których**
**dojrzysz gniew sprawiedliwy**
**i pragnienie spokoju**
**i milion oczu, które**
**gotowe znosić góry,**
**zatrzymywać strumienie,**
**otwierać wnętrze ziemi**
**i milion dłoni, które**
**chcą pracować dla siebie.**

**Choć często usta milczą**
**i suche są jak piasek,**
**lecz wiadomo, że kryją**
**najpiękniejsze wyznania.**
**Tak morze w muszli szumi.**
**Tak pierś westchnienia tłumi.**
**Tak serce milczy, kiedy**
**uczuć wyznać nie umie.**

**Dlatego mówię za nich**
**ośmieliłem się. Oto**
**o wojnie i pokoju**
**nasz głos. Mój głos.**

Długo szukał Marian dawno zapomnianej ulicy. Wszystkie wydały się nagle podobne do siebie, trudne do odróżnienia. Marian był już u kresu sił i nagle poznał: tak, to tu. Gdy przybliżyliśmy się do parkanu, dom spojrzał na nas jak ślepiec ze spuszczonymi żaluzjami powiek. Więc to tak — Co robić dalej? A jednak ktoś tu mieszka. Od strony podwórza jedno okno bieli się firanką. Furtka się poddaje. Idziemy niepewni jeszcze naszego losu. Aż gdy na progu domu staje kobieta otulona w chustkę. Marian mówi nam cicho: — To tu. Nim zdążymy wejść do mieszkania, przenika nas ciepło przyjaznego domu. U samych drzwi kobieta poznaje Mariana — Maksiu! — woła z drżeniem w głosie. Skąd się wziąłeś? Co za radość – twoja Femka, chłopcy — żyją!

Kiedy przecięliśmy but Mariana ukazała się noga rozpuchła i sczerniała po kolano.

— Nie, to nie do pojęcia — woła kobieta — z taką nogą żaden człowiek nawet kilometra przejść nie może.

A mnie jest trudno wydobyć głos, aby powiedzieć, że są tacy ludzie, którzy mogą bardzo wiele, więcej niż człowiek jest w stanie pojąć.

Jest styczeń 1942 r. Marian unieruchomiony, z nogą w gipsie, w mieszkaniu przyjaciół na IV Kolonii WSM na Żoliborzu rozwija już gorączkową działalność. Przy łóżku Mariana zbierają się towarzysze, którzy na wieść o jego przybyciu, niepojętymi drogami docierają tutaj. Starzy komuniści, starzy działacze, przedstawiciele różnych istniejących już grup rewolucyjnych zaczynają tworzyć partię, Polską Partię Robotniczą.

W te dni powstaje pierwsza odezwa Partii. W mieszkaniu u Mariana zastaję grupę towarzyszy — Pawła Findera, Czesława Skoneckiego, Karola Rydygiera, gdy piszą odezwę. Marian jest bardzo ożywiony. Na jego wyrazistej, radosnej twarzy nie ma już śladów niedawnego bólu. Nim zdążę przywitać się z towarzyszami, podaje mi zapisane arkusze.

— Czytaj, oto z czym idziemy do mas pracujących, do całego narodu.

Z wzruszeniem czytam pierwszą odezwę naszej Partii.

„Do robotników, chłopów i inteligencji! Do wszystkich patriotów polskich!

W wyniku fałszywej i zdradzieckiej polityki rządu Śmigłego-Becka. Ojczyznę naszą ujarzmił wróg. Nowoczesne krzyżactwo spod znaku swastyki okrutnie znęca się nad narodem polskim.

Hitler i jego banda ograbili Polskę z wszelkich praw narodowych i ludzkich...

...W tej decydującej chwili przed całym narodem staje zagadnienie zjednoczenia wszystkich sił do walki z okupantem na śmierć i życie, zadanie utworzenia Frontu Narodowego dla walki o wolną i niepodległą Polskę.

Taki Front Narodowy, Front bez zdrajców i kapitulantów, może być urzeczywistniony i zwycięży tylko wtedy, kiedy w jego pierwszych szeregach walczyć będzie zespolona i zwarta klasa robotnicza...

...Polska Partia Robotnicza wzywa do walki o wolną i niepodległą Polskę, w której naród sam o swoich losach stanowić będzie. O Polskę w której nie będzie faszyzmu ani ucisku obszarniczego, nie będzie obozów koncentracyjnych ani hańbiącego ludzkość getta, nie będzie ucisku narodowego nie będzie głodu, nędzy i bezrobocia.

Dobiegam ostatnich słów odezwy.

„Rodacy!. Naszym świętym obowiązkiem jest niesienie wszechstronnej i jak najwydatniejszej pomocy bohaterskiej Armii Czerwonej.

Popierajcie ze wszystkich sił zbrojne wystąpienia przeciwko armii faszystowskich zaborców.

Twórzcie oddziały partyzanckie.

Niech drugi front powstanie na tyłach armii hitlerowskiej...

Do boju! Do walki o Wolną i Niepodległą Polskę!

Zwyciężymy!".

Odezwa ta stała się pierwszą deklaracją ideową Partii.

Wąska z początku grupa rozrasta się z dniem każdym. Każdy z nas otrzymuje polecenie nawiązania kontaktów w swoim środowisku, odszukania byłych członków KPP, sympatyków. Przyłączają się do partii członkowie istniejących już grup rewolucyjnych: „Stowarzyszenia Przyjaciół ZSRR", „Sierpa i Młota", „Proletariusza". Odezwa rozchodzi się z ogromną szybkością. Nakład jej okazuje się zbyt mały. Towarzysze wyjeżdżają do Lublina, Krakowa, Łodzi i wielu innych miast. Rozwożą odezwę partii i przyjmują ją rewolucyjnym grupom istniejącym na tych terenach. Rozrasta się zasięg partii. Powstaje szereg komitetów i komórek partyjnych w całym kraju.

Program naszej partii wywołuje atak furii w obozie wroga. Nie ma argumentów i prowokacji, których by się nie imał wróg.

Marian śledzi „argumentację" wroga. Wertuje dziesiątki pisemek obozu reakcji, czyta głośno urywki artykulików pełnych wymysłów, wyzwisk, politycznych krętactw, fałszywych argumentów i szczerej nienawiści do wszystkiego co żywe i twórcze w narodzie. Marian czyta i spokojnie mówi: „Poczekajcie jeszcze parę miesięcy. Stworzymy organizację bojową, zorganizujemy prasę, radio, dotrzemy do każdego miasta i wsi a wtedy nie tak zaśpiewacie".

Te wściekłe ataki wroga wymagały wzmożonej pracy propagandowej. Trzeba było stworzyć bazę dla prasy partyjnej.

Któregoś dnia spotkałam u Mariana wspaniałego, bojowego robotnika, jednego z współzałożycieli „Stowarzyszenia Przyjaciół ZSRR", tow. Edwarda Bonisławskiego, z którym Marian szczegółowo omawiał sprawę zdobycia czcionek dla drukarni. Do walki o drukarnię ruszyło szereg najlepszych towarzyszy.

1 lutego 1942 r. ukazał się pierwszy numer „Trybuny Wolności". To był radosny dzień. Marian w tym czasie chodził już o lasce. Nie mógł widać oprzeć się radości, przykuśtykał do nas aż na Różaną i wyciągnął świeży, pachnący jeszcze farbą numer „Trybuny Wolności". Ten pierwszy numer naszego pisma, wydany na lichym papierze, zamazany farbą drukarską, wydawał nam się wtedy wspaniałym i pięknym drukiem. Podziwialiśmy, jak doskonale się udał, byliśmy bardzo szczęśliwi z tego wielkiego sukcesu, bo wiedzieliśmy dobrze, ile ciężkiego, ofiarnego ludzkiego trudu krył w sobie. Docenialiśmy, ile nowych dróg otwiera nam słowo drukowane.

Byłam wtedy świadkiem rozmowy Mariana z jego dobrym znajomym, bezpartyjnym lekarzem, który okazał mu pierwszą pomoc gdy leżał ze złamaną nogą. Marian podał mu numer „Trybuny" i powiedział:

— Janie, przeczytajcie te dwa artykuły i powiedzcie, co myślicie o linii naszej partii, jak inteligencja przyjmie nasze słowa. Czy dotrą do niej?

Był to artykuł o Froncie Narodowym i „Nakaz chwili".

Równocześnie partia zaczęła organizować łączność radiową. Sprawę tę w swych rękach trzymał również Marian. Zdobyć sprzęt i aparaturę było bardzo trudno. Dzięki tow. Fiderkiewiczowi udało nam się nawiązać kontakt z pewnym radiotechnikiem w Milanówku. Z początku sprawa szła bardzo opornie. Trzeba było dużego wysiłku, aby zdobyć niezbędne części i zacząć montować aparaty. Nadeszła wiosna.

Nigdzie nie było tak pięknych kwiatów, jak w ogrodzie naszego doktora — u tow. Fiderkiewicza w Milanówku. Z koszykiem pełnym drogocennych kondensatorów i szpulek, nakrytym wczesnymi, wiosennymi kwiatami wiele razy odbywaliśmy podróż do Warszawy (jako przypadkowi, nieznający się pasażerowie), wywołując miłe uwagi podróżnych o pięknie wyhodowanych kwiatów.

Na wiosnę uruchomiona została już łączność radiowa. Pierwszą stację uruchomiliśmy w Warszawie. Ten fakt przyjęty został przez Mariana i towarzyszy z wielką radością. Z trudem udało nam się odciągnąć go od zamiaru odwiedzenia naszej stacji, aby samemu zobaczyć, „jak u tych magików maszynki grają".

Podróże do Milanówka trwały dalej. Na wierzchu koszyka znalazły się wspaniałe gałązki jaśminu, ciężkie kiście bzu. Potem czerwieniły się wielkie truskawki, potem czereśnie, wiśnie, wreszcie okazowe wspaniałe pomidory. Róże ustępowały miejsca tulipanom, mieczykom i daliom...

W domu towarzyszy Fiderkiewiczów Marian zawsze wypoczywał. Tu, jak i wszędzie gdzie bywał, otaczano go troską i miłością. Po dniach szczególnie trudnych wyrywał się na parę godzin do Milanówka, chodził po ogrodzie między krzakami malin, wypoczywał na trawie. W otoczeniu drzew i kwiatów stawał się radosny i młody. Chętnie śpiewał, recytował wiersze i marzył. To były marzenia bojownika. Mówił o przyszłych dniach o nowym, radosnym życiu, o dzieciach robotniczych, które wyjdą ku słońcu, marzył tak, jak tylko umieją marzyć ludzie wielkiego serca i umysłu, którzy ukochali swój naród i którzy w walce realizują te marzenia.

Latem można było przenieść część naszych lokali do podwarszawskich miejscowości letniskowych. Towarzysze wynajęli dla Mariana małe, prymitywne mieszkanie w Józefowie. Po raz pierwszy bodaj w życiu jego rodzina wyjechała „na letnisko". Chłopcy szczęśliwi byli, gdy dniami całymi mogli boso biegać po rozgrzanym piasku. A przecież gruźlica od wielu lat atakowała organizm Zbyszka. Żona Mariana która całe niemal życie dźwigała na sobie ciężar utrzymania domu, wychowania chłopców i troskę o swego Mariana, gdy ten lata całe przebywał w więzieniach, gdy był „nielegalny" — nareszcie miała „urlop".

Gdy przyjechałam pierwszy raz do Józefowa zastałam osobliwy widok. Marian w krótkich spodenkach, na bosaka, grał ze swymi chłopakami i z chłopcami od sąsiadów w piłkę. Za biegnącymi unosił się tuman pyłu i fala śmiechu. Gdyby nie wzrost Mariana i jego silna budowa, to trudno byłoby go odróżnić od tej gromady chłopców. Gdy nas zobaczył, dał chłopcom sygnał, że zabawę się przerywa, a sam z twarzą, wciąż jeszcze roześmianą, przybiegł nam na spotkanie. Z daleka słyszeliśmy jeszcze wołanie chłopów: „Niech żyje tata Zbyszka!".

W kuchni Femka, żona Mariana, i jej siostra Weronika — dzielna towarzyszka, która niejedno trudne i niebezpieczne polecenie Mariana wykonała, szykowały tymczasem posiłek. Gotowały się jakieś kluski, do kubków różnego kalibru i koloru nalewano zsiadłe mleko. Stąd nikt nie mógł odejść głodny.

— Schabu nie mamy — mówiła Femka — ale głodni nie będziecie.

Do małego pokoiku koło kuchni nikt nie wchodził, gdy rozmawialiśmy tam z Marianem, gdy dawał nam tam polecenia lub przekazywał jakieś materiały. Chłopcy wiedzieli, co to jest konspiracja.

W mieszkaniu w Józefowie nie raz bywali Paweł i Małgorzata. W rozmowach ich z Marianem często padało imię Tomasza. Mówiono o jego szybkim powrocie, czekano na niego. Tomasz to był pseudonim partyjny Bolesława Bieruta.

Raz spotkałem u Mariana Janka Krasickiego. Szczególną miłością darzyli kierownicy naszej partii tego młodego towarzysza.

Janek Krasicki to była chluba naszej partii. Dwudziestoparoletni podówczas młodzieniec był już dojrzałym działaczem partyjnym znakomicie przygotowanym teoretycznie, śmiałym praktykiem. Był dzielnym pomocnikiem Mariana w wielu trudnych sprawach.

Kierownictwo partii — Marian, Paweł i Małgorzata — pokładało w nim wielkie nadzieje. Wkrótce Janek został członkiem Komitetu Centralnego PPR i przewodniczącym Związku Walki Młodych.

Marian nieraz mówił: — Trzeba strzec i chronić tego chłopca, to szalona głowa, ale takich głów mamy niewiele.

Nie udało się go ustrzec. Padł w walce we wrześniu 1943 r., w niespełna rok po śmierci Mariana.

W Józefowie odbywały się czasami posiedzenia kierownictwa. Marian rzadziej bywał teraz w Warszawie.

W Warszawie gospodyni, u której mieszkałam, p. Stojowska, pytała nieraz: — Dlaczego nie widujemy teraz waszej pani, p. Wysockiego? Cóż to za czarujący człowiek! Czy aby nic złego mu się nie stało?

Wszędzie gdzie bywał Marian, budził sympatię, zdobywał proste ludzkie serca.

Szybko minęło lato. Rodzina Nowotki wróciła do Warszawy. Wkrótce miał ich tu spotkać dotkliwy cios. Gestapo natrafiło na ślad Mariana. Szpicle odnaleźli mieszkanie jego rodziny na Żoliborzu. Nie schwycili Mariana. Aresztowali wtedy jego żonę.

— Czy przeżyje cierpienia zadawane przez gestapo, czy wytrzyma fizycznie? Czy jeszcze ją kiedyś zobaczy? — pytaliśmy.

Po czterech blisko latach Armia Radziecka wyzwoliła tysiące więźniów z obozów koncentracyjnych, z kaźni gestapowskiej. Wróciła wtedy żona Mariana, zniszczona fizycznie, ale nie złamana na duchu, dzielna, zahartowana. Nie ujrzała już wtedy ani Mariana, ani swego syna Zbyszka, który padł w powstaniu warszawskim.

Program naszej partii był programem czynnej rewolucyjnej walki, programem zbrojnej walki z okupantem. Troską kierownictwa partii — Mariana, Pawła, Witolda, Małgorzaty stała się sprawa zorganizowania uzbrojonych oddziałów partyzanckich, „które będą mścić na wrogu każdą jego podłość popełnioną na polskiej ziemi" które będą dezorganizować życie gospodarcze okupanta i niszczyć jego siły zbrojne. Marian interesuje się wszystkimi szczegółami tyczącymi przygotowań do zbrojnej akcji, wzywa towarzyszy z terenu, omawia plany akcji.

Wezwani do czynnej, natychmiastowej walki mobilizowało wokół partii rzesze robotników, chłopów i inteligencji, które z nienawiścią odwracały się od tumaniącego hasła AK — „Stać z bronią u nogi". Zerwała się młodzież. W maju 1942 r. wyrusza w pole pierwszy oddział partyzantki. „Za wami pójdą nowe setki i tysiące" — głosi rozkaz Głównego Dowództwa Gwardii Ludowej. I poszły setki i tysiące. Akcja partyzancka objęła miasta i wsie. Gwardia Ludowa będzie już do końca życia Mariana przedmiotem szczególnej jego troski.

Jesienią 1942 r. partia jest już w pełnym toku pracy politycznej na terenie całego kraju. Równocześnie narasta akcja GL. Marian i jego najbliżsi współpracownicy — Paweł Finder, Małgorzata Fornalska, Witold Jóźwiak, Janek Krasicki i wielu innych, dwoją się i troją w ogniu gorączkowej pracy.

Jest październik 1942 r. Gwardia Ludowa dokonuje śmiałych aktów dywersyjnych. W powietrze wylatują tory kolejowe, biegnące z Warszawy na wschód. W Warszawie gwardziści dokonują śmiałego napadu na Dworzec Główny, na Café Club, na redakcję szmatławca hitlerowskiego. Te akty bojowe podnoszą ducha znękanego narodu.

Terror faszystowski wzrasta nieustannie. Wyrastają szubienice, zapełniają się więzienia.

Każda strata partii kładzie cień na czole Mariana, budzi gniew i nienawiść. Ale tym śmielszy nadaje kierunek działaniu.

Nie ma dnia w którym by Marian nie wydobywał swojej małej mapki Związku Radzieckiego, na której skrupulatnie odznacza każdy ruch Armii Czerwonej. Ta mała mapka Związku Rad jest źródłem nieustannie narastających sił. Rozpoczyna się epopeja Stalingradu. Marian nie dożyje wspaniałego zwycięstwa pod Stalingradem, ale na samym początku tej wielkiej bitwy powie: — Tu Hitler skręci kark.

— Oto gdzie leży źródło naszych zwycięstw, oto gdzie rozpoczyna się nasze wyzwolenie — mówi Marian, trzymając swą wielką dłoń na mapie Związku Radzieckiego. — Czy dosyć pomagamy w tym? — pyta w zamyśleniu. I zawsze ma jedną odpowiedź: — Nie dosyć.

Niezapomniany dzień listopadowy. Marian przyniósł tekst przemówienia Towarzysza Stalina w 25-tą rocznicę Rewolucji Październikowej.

Jakim niewyczerpanym źródłem odwagi stał się dla nas wszystkich ten wspaniały dokument sił i bohaterstwa narodu radzieckiego!

Dziesiąty chyba raz odczytuje Marian towarzyszom tekst przemówienia i Rozkaz Ludowego Komisarza Obrony z dnia 7 listopada 1942 r.

„Towarzysze!

Wróg odczuł już raz siłę ciosów Armii Czerwonej pod Rostowem, pod Moskwą, pod Tychwinem. Niedaleki jest dzień, gdy wróg pozna siłę nowych ciosów Armii Czerwonej. Przyjdzie chwila, gdy i dla nas nadejdzie dzień radości"

— Pozna siłę ciosów Armii Czerwonej, tak potężnych ciosów, że z hitleryzmu śladu nie pozostanie — mówi Marian. A potem twarz jego rozjaśnia się wewnętrznym blaskiem. I nadejdzie dzień radości. Pomyślcie, drodzy, nadejdzie dzień radości — to mówi Stalin.

— Dożyć tych dni. To już jest bliskie. Może za rok, może za dwa, ale to jest bliskie. Słyszycie słowa Stalina. Tak chciałoby się dożyć tej wielkiej radości...

Dla nas były to ostatnie słowa Mariana.

W parę dni potem przestało bić jego wielkie serce.

29 listopada otrzymałam kartkę od Mietka Hejmana, mego dobrego przyjaciela, z którym szereg trudnych miesięcy pracowałam na stacji radiowej.

— Musimy jeszcze dziś się spotkać.

Idąc na umówione miejsce usiłowałam odgadnąć, co jest powodem tego nagłego spotkania. Kogo znowu aresztowano, kto nam znowu ubył z szeregów. A może dowiem się czegoś dobrego, może i o rzeczach radosnych trzeba się szybko dzielić z towarzyszami.

Mietek czekał już oparty o mur kościoła na Placu Trzech Krzyży. Nim podeszłam do niego zrozumiałam, że zaszło coś bardzo ciężkiego. Mietek milczał chwilę nim zebrał siły, aby powiedzieć mi okrutną, przerażającą wieść: — Stary nie żyje. Wczoraj został zabity.

Można iść ulicami miasta z suchymi, niewidzącymi oczami, omijać ludzi, przechodzić przez jezdnie, nieść piekący ból i milczeć.

Urywanym głosem opowiadał Mietek o pierwszych znanych szczegółach tej zbrodni i rozbijał krok za krokiem nadzieję, że może jest w tym jeszcze jakaś omyłka, że rany może nie były śmiertelne.

Można iść ulicami miasta i niewidzącymi oczami trafić do swego domu, wejść na piętro, otworzyć drzwi swego pokoju. Ale wtedy już milczeć nie można.

Przez całą noc czekaliśmy z Wickiem na przyjście Małgorzaty. Wiedzieliśmy, że ona do nas przyjdzie. Przyszła rano. Przyszła podzielić się bólem. Z nią było nam lżej.

Ale nie wolno było długo trwać w rozpaczy. Małgorzata znała już sporo szczegółów. Ona, człowiek o wielkim i kochającym sercu, była czujna i bezwzględna dla wroga. To ona pierwsza rzuciła myśl, że wróg — prowokator ukrył się w szeregach naszej partii. To ona i Paweł wykryli i zdemaskowali zbrodniarza, agenta imperializmu, który przeciął życie Mariana. Życie wielkiego komunisty — Marcelego Nowotki, założyciela i pierwszego sekretarza Polskiej Partii Robotniczej. Podły judasz — zdrajca ukarany został z rewolucyjną surowością.

Do głębi przeniknął partię ból po utracie Marcelego Nowotki, ból tak wielki, jak wielką była strata.

Lecz jeżeli wróg sądził, że choć na chwilę zachwieje szeregami partii, że choć na chwilę osłabi jej rewolucyjną działalność — to srogo się zawiódł. Nie drgnęły szeregi partii, ciaśniej zwarły się do walki. Celniej bił karabin partyzanta w nienawistnego wroga.

Na posterunku, opuszczonym przez Mariana, stanie wkrótce Bolesław Bierut, który czujnie strzec będzie czystości linii naszej partii przed zakusami zdrajców i oportunistów, który poprowadzi partię ku wielkim zwycięskim dniom. Bolesław Bierut, wierny syn ludu polskiego, wierny uczeń Stalina, będzie wykonawcą testamentu Marcelego Nowotki, Pawła Findera, Małgorzaty Fornalskiej i legionu nieśmiertelnych bojowników o wielką i najszlachetniejszą sprawę komunizmu. Pod Jego kierownictwem partia będzie zwycięsko realizować ślubowanie Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej gdy żegnała swego wiernego syna.

„Śmierć Twoja, Towarzyszu Marianie, nie będzie daremną. Pomścimy ją. Nie spoczniemy, póki nie doprowadzimy do zwycięstwa dzieła, dla którego żyłeś, pracowałeś i walczyłeś".

**Maria Rutkiewiczowa**

# PAUL ELUARD

## WOLNOŚĆ

**Na moich zeszytach szkolnych**
**Na mojej ławce na drzewach**
**Na piasku na śniegu**
**Piszę twoje imię**

**Na wszystkich czytanych stronicach**
**Na wszystkich pustych stronicach**
**Na kamieniu krwi papierze lub popiele**
**Piszę twoje imię**

**Na obrazkach złoconych**
**Na broni wojowników**
**Na koronie królów**
**Piszę twoje imię**

**Na puszczy i na pustyni**
**Na gniazdach na janowcach**
**Na echu mego dzieciństwa**
**Piszę twoje imię**

**Na urokach nocy**
**Na białym chlebie dni**
**Na zaręczonych porach roku**
**Piszę twoje imię**

**Na wszystkich chusteczkach z błękitu**
**Na stawie słońcu omszałym**
**Na jeziorze księżycu żywym**
**Piszę twoje imię**

**Na polach na horyzoncie**
**Na skrzydłach ptaków**
**Na młynie ciemności**
**Piszę twoje imię**

**Na każdym powiewie świtu**
**Na morzu na statkach**
**Na górach szalonych**
**Piszę twoje imię**

**Na pianie obłoków**
**Na pocie burzy**
**Na deszczu gęstym i szarym**
**Piszę twoje imię**

**Na kształtach migotliwych**
**Na dzwonach na kolorach**
**Na prawdzie dotykalnej**
**Piszę twoje imię**

**Na nikłych ścieżkach**
**Na drogach utartych**
**Na placach rozległych**
**Piszę twoje imię**

**Na lampie co się zapala**
**Na lampie która gaśnie**
**Na moich domach zespolonych**
**Piszę twoje imię**

**Na owocu przepołowionym**
**Lustra i mego pokoju**
**Na moim łóżku muszli pustej**
**Piszę twoje imię**

**Na moim psie żarłocznym i czułym**
**Na jego uszach nastawionych**
**Na jego niezdarnej łapie**
**Piszę twoje imię**

**Na trampolinie mych drzwi**
**Na przedmiotach rodzinnych**
**Na kłębie ognia łaskawym**
**Piszę twoje imię**

**Na każdym ciele harmonijnym**
**Na czole moich przyjaciół**
**Na każdej podanej dłoni**
**Piszę twoje imię**

**Na witrynie niespodzianek**
**Na wargach uprzedzających**
**Dobro ponad milczenia**
**Piszę twoje imię**

**Na moich schronach zburzonych**
**Na moich latarniach strzaskanych**
**Na murach moich zmartwień**
**Piszę twoje imię**

**Na czczości bez pragnienia**
**Na zupełnym osamotnieniu**
**Na pochodach śmierci**
**Piszę twoje imię**

**Na powracającym zdrowiu**
**Na rozwianej niepewności**
**Na nadziei bez wspomnień**
**Piszę twoje imię**

**Mocą słowa**
**Rozpocząłem swoje życie**
**Urodziłem się aby cię poznać**
**Aby cię nazwać**

**Wolności**

przełożył **Marian Piechal**

## WSZYSTKO POWIEDZIEĆ

*(Fragmenty poematu)*

*

**Wszystko powiedzieć skały drogę kamienie jezdni**
**Ulicę i jej przechodniów polne rozłogi pasterzy**
**Puszystość pory wiosennej i rdzawą porę zimową**
**I chłód i żar z którego powstaje owoc jedyny**

**Chcę wypowiedzieć tłum i każdego człowieka z osobna**
**To co weń życie wlewa to co go w rozpacz wiedzie**
**To czym jaśnieje człowiek wśród mijających czasów**
**Nadzieję jego i krew historię jego i trud**

*

**Mimo że kresu dobiegam to kim dziś jestem zawdzięczam**
**Ludziom dobrze wiedzącym jaka jest życia zawartość**
**Wszystkim co zbuntowani sprawdzają walki narzędzia**
**I serca swoje sprawdzają i dłonie łączą w uścisku**

**Ludzie i zawsze ludzie wśród nieuległych ludzi**
**Rośnie pieśń a tej pieśni treść znana była każdemu**
**Kto kiedykolwiek wznosił przyszłość na przekór śmierci**
**Na przekór wrogom ukrytym karłom i obłąkanym**

*

**Będzie potrzebna radość a będzie o radość zdrowia**
**Będą się ludzie radować że są dla siebie jak bracia**
**Będą dobrymi dla drugich jak każdy jest nim dla siebie**
**Jak każdy siebie kochając kochanym chce być przez drugich**

**Drżenia dziś delikatne jutro się rozkołyszą**
**Ze samej radości istnienia świeżej jak morska fala**
**Nic nie potrafi sprawić byśmy zwątpili w poemat**
**Który ja piszę dzisiaj by zmazać wczorajszy dzień**

przełożyła **Wisława Szymborska**

# Spotkanie z książką radziecką

*W związku z Miesiącem Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej redakcja „Nowej Kultury" zwróciła się do szeregu pisarzy z prośbą o wypowiedzi związane z ich wrażeniami i przemyśleniami przy lekturze literatury radzieckiej. Poniżej drukujemy niektóre z tych wypowiedzi.*

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

## Zwierciadło rzeczywistości

Jestem namiętnym czytelnikiem prasy. Od wielu lat przyzwyczaiłem się zaczynać dzień od przeglądu gazet krajowych i zagranicznych. Szukam w nich odbicia obrazu świata i jego przemian. Jestem nie tylko pilnym czytelnikiem prasy, ale również jej żarliwym wyznawcą i chętnym współpracownikiem. Gazeta jest jednym ze zmysłów łączących człowieka ze współczesnością.

Ale mimo że gazetę czytam co dzień, a książkę o wiele rzadziej, stwierdzić muszę, że na moje pojęcie i rozumienie świata znacznie większy wpływ ma książka niż gazeta. Wydaje mi się, że odzwierciedla i wyjaśnia ona rzeczywistość w stopniu daleko wyższym.

Każda epoka ma literaturę, która ją najpełniej wyraża. Marks twierdził, że lektura Balzaka nauczyła go więcej o społeczeństwie burżuazyjnym niż wiele naukowych rozpraw. Mnie o sprawach naszego czasu nauczyła najwięcej literatura radziecka.

Jak wielu polskich inteligentów — wychowywałem się pod przemożnym wpływem kultury francuskiej, nie zdając sobie sprawy z klasowości tego co do nas, jako współczesna kultura francuska, dochodziło. Z literaturą radziecką zetknąłem się w latach trzydziestych, w latach kryzysu, kiedy wydawcy zorientowali się, że można najwięcej zarobić na autorach kraju, któremu nie trzeba płacić honorariów. Pierwszy uczciwy, przekonywający obraz rzeczywistości radzieckiej znalazłem w radzieckiej książce. Nie było jej wprawdzie wiele, ale i to, co do nas doszło, było objawieniem. Po raz pierwszy zobaczyłem narodziny nowego człowieka w książce Awdiejenki „Kocham". Nikt mi już po nim lepiej nie wyjaśnił prawdy, że byt określa świadomość. Prawdę o kołchozach znalazłem po raz pierwszy w życiu na kartach „Zoranego ugoru" Szołochowa. Pokazał on na wycinku obrobionej artystycznie rzeczywistości trudny problem „wyzwalania chłopa z idiotyzmu życia wiejskiego". Chcę powiedzieć, że tych, co przeczytali pierwsze w swym życiu książki radzieckie, już się propaganda antyradziecka tak łatwo nie imała. Taka jest przekonywająca siła artystycznie wyrażonej prawdy.

Później miałem się przekonać, że książka radziecka wyrażać umie prawdę o rzeczywistości nie tylko radzieckiej ale o rzeczywistości „tout court". W roku 1940, podobnie jak wielu inteligentów polskich, nie mogłem zrozumieć klęski Francji. Cały od dzieciństwa konstruowany gmach mieszczańskiej historiozofii zawalił się nagle bez żadnego na pozór wytłumaczalnego powodu. Kazimierz Brandys opisuje bardzo wnikliwie ten kryzys polskiego inteligenta w „Mieście niepokonanym". Szukając wyjaśnień sięgnąłem po książkę Maurois o upadku Francji. Nie znalazłem w niej odpowiedzi na pytanie, dlaczego Francja upadła w ciągu sześciu tygodni mimo wielkiej armii, sojuszników, potęgi materialnej, linii Maginota. Przecież nie dlatego, jak chce Maurois, że Daladier i Reynaud mieli wspólną kochankę, nie dlatego, że Gamelin był niedołęga a ten czy ów zdrajca. Więc dlaczego?

Odpowiedział mi na to w pełni dopiero radziecki pisarz. Ilja Erenburg w książce „Upadek Paryża" dał odpowiedź na pytanie, na które burżuazyjni historiozofowie odpowiadali jedynie mętnymi cytatami z pamiętników niesławnych protagonistów historycznego dramatu, służącymi autorom do wybielenia siebie a oczernienia innych. Erenburg postawił sprawę jasno: niedołęstwo i to świadome wykazał nie tylko Gamelin ale cała jego klasa, zdradził nie tylko Petain i Laval, ale klasa, która była ich mocodawcą. Francja nie mogłaby ulec rozgromieniu, gdyby interesy rządzącej burżuazji nie przekładały Hitlera nad „niebezpieczeństwo komunizmu".

Po wojnie dane mi było spędzić kilka ciekawych lat we Francji. Był to okres, kiedy naród francuski żądał „du neuf et du raisonable", a zaczynano go znów częstować wszystkim co stare i niemądre. Mogłem spotykać znów, i to nie tylko na kartach książki ale na ulicy, którą szedłem, w domu, w którym mieszkałem, w kraju, w którym żyłem, bohaterów powieści Erenburga. Byli to ludzie z krwi i kości reprezentujący sprawy naprawdę istniejące. Byli to ludzie i były to sprawy z „Upadku Paryża", z „Burzy" i „Dziewiątej fali". Erenburg wyjaśniał ich rolę i sens. Jego książka rozszyfrowywała zbyt czasem zawiłą i łudzącą nieraz mirażami rzeczywistość. Nie twierdzę przez to, że wiem o Francji tyle, ile mnie nauczyły książki Erenburga. Pragnę tylko powiedzieć, że w jego książkach znalazłem zawsze odbicie a często i objaśnienie francuskiej rzeczywistości.

Realizm socjalistyczny to właśnie to: związek z rzeczywistością opisywanej współczesności i ostrowidztwo polityczne.

Literatura realizmu socjalistycznego ma nie tylko opisywać, ale i tłumaczyć świat. Pisarze realizmu krytycznego opisywali go i kwestionowali. Nam, pisarzom realizmu socjalistycznego, przypada zadanie udzielenia odpowiedzi na postawione przez nich kwestie.

Pierwsza literatura, która zadanie to bierze na siebie, to literatura radziecka. Od czasu ostatnich wielkich realistów krytycznych literatura burżuazyjna zdobywa się już tylko na gmatwanie zagadnień. Kwestionując wszystko, nie kwestionuje już właściwie niczego. W najlepszym wypadku dostarcza zabawki intelektualnej lub wynajduje jeszcze jakiś dotąd nie opisany odcień psychologii jednostki. Świata, w którym żyjemy — poprzez tę literaturę nie zrozumiemy ani go w niej nie odnajdziemy. Zadanie to bierze na siebie literatura radziecka.

**Mirosław Żuławski**

BOGDAN HAMERA

## Poszukiwacze prawdy, służebnicy ludzkości

Lew, tygrys, wilk, boa-dusiciel, kobra, grzechotnik — ci przedstawiciele otaczającej człowieka przyrody mają w naszych pojęciach ustaloną sławę strasznych stworzeń, zabijających kłami, pazurami, jadem. Naczytaliśmy się o tym w rożnych powieściach podróżniczych, zaryło nam się w pamięci wiele przygód i scen „mrożących krew w żyłach". Walki, przygody podróżników z drapieżcami, jadowitymi wężami były fascynującą lekturą w naszych młodych latach.

A cóż może być interesującego w walce z komarem?

Miliony ludzi na szerokim świecie dopiero w ciągu ostatnich miesięcy dowiedziały się, że owad może być straszny i groźny dla człowieka. Dowiedziały się o tym w sposób zgoła nieprzewidziany, budzący odrazę i protest — kiedy wypielęgnowane w laboratoriach, nakarmione dżumą i cholerą pchły, komary, muchy zaczęły spadać z amerykańskich samolotów na koreańskie dzieci.

Uczeni dawno już o tym wiedzieli. Wiedzieli, że jeśli chodzi o liczbę ofiar, o liczbę zniszczonych istnień ludzkich, to najgroźniejszy drapieżnik, najjadowitszy wąż są niewiniątkami w porównaniu z maleńkim i wątłym komarem, niezdarną wszą czy nieruchawym kleszczem. Uczeni (ci prawdziwi uczeni, a nie zwyrodnialcy oddający zadżumioną pchłę pod dowództwo amerykańskiego generała) już dawno podjęli i ciągle prowadzą zaciętą walkę z tymi niepozornymi, a jakże groźnymi, wrogami człowieka. Popowski natomiast w swojej książce*) pokazał, jak interesująca może być walka z komarem, jak frapujący i niebezpieczny może być pościg za nieruchawym kleszczem.

Autor opowiada o wybitnym parazytologu radzieckim, profesorze Wojskowej Akademii Lekarskiej, Eugeniuszu Nikanorowiczu Pawłowskim i jego uczniach. Ci ludzie to oddział walecznych partyzantów, toczących zacięte, wymagające szczególnego męstwa i hartu, trudne i długotrwałe walki z groźnym przeciwnikiem — wątłym komarem i moskitem, nieruchawym kleszczem. Pawłowski rzuca grupki tych ludzi na różne odcinki frontu — to na rozpalone piaski pustyni Kara-Kum do walki z „pendynką", to na malowniczy Krym do walki z tamtejszą odmianą malarii, to w ostępy puszczy Ussuryjskiej do walki z „chorobą tajgi". Na szczególnie niebezpieczne odcinki częstokroć podąża sam.

Zadanie jest zawsze jednakowe: znaleźć i określić wroga, odkryć źródła i ośrodki zarazy, zbadać metody wroga, przenoszącego zarazę na człowieka i wreszcie wszcząć z nim skuteczną walkę.

Ale wróg jest ukryty, natura uporczywie strzeże swych skomplikowanych tajemnic, zastawia na badacza pułapki, chytrze wciąga go w zasadzki, zaskakuje niespodziankami, krzyżuje plany. Niejednokrotnie badacz po uporczywych, żmudnych, długotrwałych i ryzykownych dociekaniach już sięga po rezultat, i nagle — cios... pomyliłeś się, bracie. Zaczynaj od nowa.

Oto badacz już jest na tropie zbrodniarza. Już znalazł niezbite dowody zbrodni. Sekcja wielkiej ilości owadów wykazała w ich jelitach, żołądku, gruczołach ślinowych wirusy zarazy. Miazga z roztartych owadów, wstrzyknięta białym myszom spowodowała u nich chorobę. Ale tysiąc razy powtórzona próba zarażenia myszy przez ukąszenie naszpikowanego wirusami owada nie dała rezultatu. Czy owad przy ukąszeniu nie wsącza do organizmu zwierzęcia zarazków, czy też organizm ulega tylko większej ich liczbie, a ze słabszą infekcją daje sobie radę? A może wchodzą tu w grę jakieś zgoła inne, niewiadome, trudne do teoretycznego odgadnięcia czynniki... Żeby na szereg takich pytań odpowiedzieć — badacz naraża się na ukąszenia zakażonych owadów.

Ciche bohaterstwo tchnie ze stronic tej książki. Wszędzie toczy się zacięta walka: z jednej strony stoi uparty, świadomy, zdolny do poświęceń i uzbrojony w wiedzę człowiek radziecki, z drugiej oporna, pełna tajemnic i groźna przyroda. Książka jest naprawdę frapująca.

Oto profesor Pawłowski skierowuje swoją asystentkę, Pietryszczewą, do Tadżykistanu. Zadanie: dywersja na terenach zajętych i zagrożonych przez malarycznego komara. Siedlisko jego jest znane — pola ryżowe. Ale stosowana gdzie indziej metoda walki — pokrycie wody warstwą nafty lub ropy — tu jest nie do pomyślenia. Chodzi o ryż. Pietryszczewa opracowuje inny sposób — osuszenie pól ryżowych na parę dni, aby komary i ich larwy zginęły pod palącymi promieniami słońca. Nie ma żadnych trudności technicznych w zastosowaniu tego sposobu. Ale tu napotyka na sprzeciw ludzi uprawiających pola ryżowe i żywiących się ryżem. Jak świat światem ryż zawsze rośnie w wodzie. Pozbawić ryż wody — to pozbawić ludzi ryżu. Pietryszczewa wie, że tak nie jest, ale zbieracze ryżu o tym nie wiedzą i nie chcą wiedzieć.

Uda się Pietryszczewej przekonać tych ludzi i wybawić ich od malarii, czy się nie uda?

Oto na bagnach wśród tajgi usadowiła się ekspedycja. Jest parazytolog, biolog, zoolog, mikrobiolog. W tych okolicach uporczywie grasuje tzw. encephalitis — nieokreślony nosiciel zarazka okresowego zapalenia mózgu. Kierownik ekspedycji, Gucewicz, szuka go wśród komarów. Jego żona tropi kleszcze. Oboje pracują z jednakowym uporem.

Za kim wypowiedzą się uciążliwe, żmudne dociekania?

*(Dokończenie na str. 6-ej)*

*) A. Popowski „Natchnieni poszukiwacze". Tłum. Józef Brodzki. Wyd. M.O.N. Str. 244.

EWA SZELBURG

## Przyszła mi na myśl ta oto książka...

Przypomniałam ją sobie niedawno, podczas spotkania z przodującymi nauczycielami w Domu Literatów.

Oto usiadła nas gromada spora przy jednym z wielu stołów. Są tu ze mną, widzę, zasłużeni i odznaczeni młodzi i starzy nauczyciele i nauczycielki z różnych stron: z Kaszubszczyzny, z Olsztyńskiego, ze Szczecińskiego, z Mazowsza, z Lubelszczyzny. Przed chwilą dopiero zapoznani ze sobą, od razu poczuliśmy się sobie bliscy. Nic w tym dziwnego. Proste to jest: oni znają mnie z tego, co pisałam i piszę, a ja — otóż, jeżeli rzec całą prawdę, najbliższymi ludźmi, i to od lat, są mi nauczyciele. I to nie tylko dlatego, że już w siedemnastym roku życia zasmakowałam w tym zawodzie, a i później sporo czasu mu poświęciłam...

Siedząc tak teraz przy ukwieconym, biało nakrytym stole, z dymiącą filiżanką czarnej kawy w ręku, i słuchając uważnie ożywionej wymiany wrażeń wyniesionych z Ogólnopolskiego Zjazdu Przodujących Nauczycieli, uczułam niezwyczajnie mocno, że odżywają we mnie wspomnienia sprzed dwu dziesiątków lat, a nawet chyba wcześniejsze.

Jakie to było niepodobne do obecnego czasu!

Oto początek samodzielnej drogi. Drogi trudnej, bo szukanej omackiem, bez żadnej pomocy. Trochę teoretycznych wiadomości. Nadmiar zapału. Brak doświadczenia. Nieznany teren — oddalona prowincja.

Nic to. Jest nas, młodych, aż troje, ożywionych wolą stworzenia prawdziwie nowej, żywej, radosnej szkoły z tego zaniedbanego seminarium nauczycielskiego, jakie zastajemy w małym pogranicznym mieście

Czas jest trudny. Niewiele go upłynęło od zakończenia wojny. Uczniowie, szczególnie starsi, nie stanowią łatwego elementu. Niektórzy brali udział w wojnie. Wielu przerwało na dłuższy czas naukę, by teraz do niej wracać z trudem.

Spotkaliśmy się od razu, i to właśnie ze strony najzdolniejszych chłopców, z lekceważącym stosunkiem do nauki szkolnej, do szkolnej karności, do form zespołowego współżycia.

Grupa starych nauczycieli nie mogła nam tu być pomocną. Trzeba więc było jednocześnie zabrać się do wychowania nie tylko młodzieży, ale i zaśniedziałej w rutynie i przesądach starej gwardii nauczycielskiej. Trudne zadanie dla nowego dyrektora, będącego w wieku jego uczniów, trudne zadania dla nauczyciela o parę lat od uczniów młodszego, i dla reszty, werbowanych kolejno, a niewiele starszych kolegów-pedagogów

Radziliśmy sobie jak mogliśmy. Tych niewiele lat ponad dwadzieścia sprawiało, że każde z nas miało jeszcze żywo w pamięci własne przeżycia szkolne, związane z nimi urazy, zastrzeżenia, nieufności... A to, że dzieciństwo nasze i najpierwsza młodość znalazły się w miażdżących trybach wojny, której skutki wciąż jeszcze przecież trwały — to także uczyło nas trafniej czytać w sercach i w umysłach naszych wychowanków.

Zaryzykowaliśmy zerwać z dotychczasowymi sposobami. Oparliśmy nasz stosunek na koleżeństwie, usiłowaliśmy oddziaływać na chłopców bezpośrednim przykładem.

Szczerość w postępowaniu wydawała nam się rzeczą najcenniejszą, skuteczną. I była taką.

Uspołecznialiśmy naszych chłopców tworząc ze szkolnego życia wspólną sprawę uczniów, nauczycieli, rodziców.

Seminarzyści przeważnie pochodzili ze wsi. Wieś ówczesna, po większej części biedna i ciemna, dawała materiał ludzki zaniedbany fizycznie i umysłowo. Uczyć trzeba było dosłownie wszystkiego, poczynając od gruntownego mycia się i racjonalnego żywienia do sportowego stosunku przy grach zespołowych... od poprawnego wyrażania się do samodzielnego opracowywania referatów czy prowadzenia gazetki... od opanowywania własnych brutalnych i prostackich odruchów do umiejętnej opieki nad młodszymi.

Każdy przecież z tych chłopców miał w krótkim stosunkowo czasie wejść w życie w określonej ściśle roli: nauczyciela.

Rzecz prosta, poza gorącymi dyskusjami szukaliśmy pomocy, rady — w książkach.

Literatura pedagogiczna, z życia wyrastająca i z życiem związana, z której moglibyśmy istotnie korzystać, była wówczas znikoma.

I wtedy to do rozbrzęczanego chłopięcymi głosami, piętrowego ceglanego domiska, stojącego samotnie na pustym placu za ostatnimi parterowymi drewniakami przy błotnistym gościńcu, przywędrowała niezwykła książka.

Książkę tę najpierw spostrzegłam na stole w pewnym parterowym warszawskim mieszkaniu przy zacisznej, niemal wiejską ciszą wypełnionej ulicy Smolnej, gdy nasz młody dyrektor odwiedził tam, razem ze mną, swą dawną i dobrą znajomą.

Po raz pierwszy byłam wtedy u Stefanii Sempołowskiej.

Od razu brała w jasyr Smolistymi oczami zajrzała ci do samego dna serca, przemówiła prosto, serdecznie, a z niedającą się ukryć żarliwością darowała ci najbardziej ludzki, dobry uśmiech, mądry uśmiech, związała niezawodnym uściskiem gorących dłoni i—jak powiada baśń ludowa o czarodziejkach: „Juześ beł jej".

Panna Stefania, jak wiadomo, bardzo czynnie zajmowała się sprawami wychowania. Odwiedzałam ją potem dość często.

Teraz przeglądałam ze zrozumiałym zainteresowaniem podany mi przez nią tom. Od pierwszego spojrzenia na stronice zrozumiałam — książka rosyjskiego pisarza Ogniewa nie jest zwykłą książką — to pocisk, skondensowany ładunek niemaskowanej niczym prawdy, najżywszych, najszczerszych ludzkich uczuć. Upadki i wzloty młodości, ale młodości zadziwiającej, nieznanej mi z bliska, młodości z tamtej strony granicy, tej wschodniej: z Kraju Wielkiej Rewolucji.

Pomyślałam zrazu o tej młodości: „nieznana mi". Czy rzeczywiście nieznana? Zastanowiłam się. Ach, ileż wspólnego oglądam co dzień u naszych chłopców, w naszej uczelni, w naszym internacie. Czuję, wiem — znalazłam pomoc, dostanę mądrą, dobrą radę.

*(Dokończenie na str. 6-ej)*

ARTUR SANDAUER

## Pierwszy spotkany: Majakowski

Epoka była burzliwa: Hitler zajmował Austrię i Sudety, Chamberlain podpisywał układ w Monachium; bliżej — Ozon głosił mocarstwowe hasła, szły w ruch kastety, bezrobocie szalało, skwierczała nędza. Środowisko młodzieży inteligenckiej, do którego należałem, brało udział w pochodach 1-majowych, w demonstracjach „Semperitu", w pogrzebie Kozaka. Ci, którzy w siedem lat później mieli bić się pod Dreznem i Berlinem, szli wówczas — niektórzy instynktownie, niektórzy zupełnie świadomie — za czerwonym sztandarem A równocześnie... Równocześnie ilekroć rozmowa przechodziła na sprawy kultury, bliskie niejednemu z nas, wyłaniały się zupełnie inne zagadnienia. Padały nazwiska Freuda, Rilkego, Prousta; jedni grzebali we własnej podświadomości, inni pisywali wiersze, których tematem była ich własna geneza; inni znów... Lecz po cóż wdawać się w szczegółowy opis tej atmosfery, która została już gdzie indziej ogólnie i wyczerpująco określona? Trudno, tacyśmy byli...

*

Październik 1939 roku. Ulicami przewalają się radzieckie czołgi, na rogach stoją — otoczeni grupami przechodniów — radzieccy żołnierze. Słychać słowa: „Charaszo budiem żyt'. Budiem rabotat' wmiestie." Wczorajsi pałkarze uśmiechają się jadowicie: wiadomo, propaganda...

Po raz pierwszy w życiu zgłaszam się do pracy. Jestem filologiem klasycznym; nie ma miejsc dla filologów klasycznych; łaciny nie uczyło się jeszcze wówczas w szkołach.

— Jakie języki znacie poza tym? — pyta mnie radziecki inspektor.

Wyliczam.

— A rosyjski?

— Nie.

— No, to nauczcie się. Będziecie go wykładać

— Ale przecie go jeszcze nie znam

— To nic. Za to znacie ukraiński. Brak nam wykładowców. Nauczycie się.

Pierwsza rosyjską książką, jaka wpadła mi w ręce, było jednotomowe wydanie Majakowskiego. Uczyłem się na nim nowego języka i nowej poezji. Przyzwyczajony do Rilkowskich parków do Valéry'owskich kolumn, przecierałem oczy: więc to można — tak? Można i o chlebie, o marchewce, o paleniu w piecu? Opierałem się najpierw, później mnie porwało. W tę ciężką wojenną zimę, gdy dostawy jeszcze szwankowały, gdy żyło się improwizacją, gdy w szkołach brakło podręczników, zacząłem naukę z uczniami — od Majakowskiego. Czytałem im wiersze z grubego tomu dziesiątki... nie, setki razy. Później tom był już niepotrzebny, znałem je na pamięć. Majakowski wydobył mnie z kłopotu: pozyskał moich — rozhukanych i niesfornych, jak zwykle w czasie wojny — uczniów dla języka, dla poezji, dla rewolucji. Nie przeczuwałem wówczas, że w przyszłości nie taką jeszcze odda mi przysługę...

W słotny listopad 1943 roku wracałem z Karpat do rodzinnego miasta. Szedłem nocami, na nogach miałem tenisówki, na całym ciele — świerzb. Grupka „leśnych", do której należałem, poszła niedawno w rozsypkę: każdy urządził się jak umiał; jedni umieścili się w chłopskich stodołach, inni próbowali przedrzeć się na Węgry. Ja — wracałem do rodzinnego miasta, nie bardzo zresztą wiedząc po co. Miałem tam co prawda pewnego znajomego, który... domyślacie się reszty. Nadzieje jednak z nim wiązane okazały się złudne. W jego domu stacjonowali Niemcy i w tej sytuacji nie mógł oczywiście dać schronienia nielegalnemu. Jedyne, czym mi mógł służyć, to chleb, który zobowiązał się dostarczać na umówione miejsce.

O parę kilometrów od miasta, w pustkowiu, tuż nad rzeką znajdowała się drewniana buda, gdzie latem chronili się przed deszczem pasterze; na strychu było trochę siana, w które można było się zaszyć. Tam ustaliłem — w oczekiwaniu lepszych czasów — swoje miejsce pobytu. Mego ówczesnego stanu psychicznego nie podejmuję się opisywać, jedno jest pewne, że nie należał on do najbardziej różowych.

Pewnej nocy zerwałem się ze snu; z daleka z miasta dolatywała mnie gromka żołnierska pieśń:

— Ech, taczanka, rostowczanka,
Nasza gordost' i krasa'...

Byłem wówczas — przyznaję — nieco szalony i z łatwością ulegałem halucynacjom, zwłaszcza przyjemnym. Najdziksze myśli zaczęły mi chodzić po głowie. Nagłe przerwanie frontu? Desant? Niestety— jak mi wyjaśnił w godzinę później mój chlebodawca — byli to tylko wracający z frontu własowcy, którzy przywłaszczyli sobie piosenkę czerwonoarmiejską; jeszcze jeden — nawiasem mówiąc — dowód jej działania.

Wrażenie jednak owej piosenki i wiązanych z nią nadziei nie przeszło bez śladu. Wróciły wspomnienia sprzed trzech lat, wróciły obrazy trudnej, radosnej zimy, wrócił Majakowski. Z trudem przywoływałem na pamięć te dawno zapomniane wiersze Majakowski stawał znów przede mną w całej swej wielkości, stawał jednak inaczej: nie jako bierne przeżycie, ale jako zadanie.

Oto jak zacząłem pracę nad przekładem „Dobrze",

**Artur Sandauer**

JERZY ZAGÓRSKI

## Śladami wielkich tradycji

Wpadła mi do ręki piękna książka Iraklija Andronnikowa o Lermontowie. Nie jest to w ścisłym znaczeniu tego słowa dzieło naukowo - metodologiczne, lecz raczej barwne, pełne uroku szkice monograficzne. Podobno książkę już ktoś przełożył, podobno jedno z wydawnictw zamierza ją wydać. Oby nie odstąpiło od tego zamiaru! Książka ta może mieć specjalne znaczenie nie tylko dla naszych studentów uniwersytetów i liceów, ale i dla wszystkich miłośników Lermontowa. Zawiera ona bowiem rewelacyjne odkrycia tak co do samego życiorysu poety, jak również co do źródeł, z których czerpał motywy swych utworów.

Praca jest wynikiem niemal „detektywistycznych", poszukiwań autora. Odwiedzał on potomków ludzi, których życie było związane z Lermontowem, korzystał z każdej nici, która by mogła odsłonić nowe korytarze labiryntu przeszłości. Nie gardził księgami pamiątkowymi pułków, zaprzągł do pomocy wszystkie nauki, nie wyłączając heraldyki i astronomii. W wyniku tych poszukiwań autor bądź przekonuje czytelnika o słuszności stawianej tezy, bądź zatrzymuje się na przypuszczeniu. Urocza książka! Czyta się ją jak romans, dowiadując się prawd, brzmiących jak fantastyczna baśń.

Na przykład Andronnikow podaje nam taką wiadomość:

Pisząc Demona, czy Mcyri, Lermontow, jak wiemy, opierał się na podaniach i baśniach ludów kaukazkich. Wiele z nich opowiadało o tajemniczych grobowcach, cerkwiach, czy klasztorach na szczytach niedosiężnych gór, do których prowadzi jedynie droga po żelaznym spuszczanym w przepaść łańcuchu. Fantastyczne krajobrazy Kaukazu mogły sprzyjać tworzeniu się takich po dziś dzień zapisywanych baśni.

Ale oto Andronnikow przypomina nam, że już w 1811 roku podróżnik Fr. Parrot, wspinając się na Kazbek, odkrył na wysokości 3.250 metrów nad poziomem morza krzyż metrowej wysokości, kamienne ogrodzenie i kilka płyt grobowych, obok zaś piramidę z wielkich kamieni i granitowy słup. Wysoko zaś powyżej dostrzegł niedostępną dla niego pieczarę, zwaną przez tubylców „klasztorem".

W 130 lat po nim dotarli tam radzieccy meteorolodzy. W roku 1947 pracownik wysokogórskiej stacji meteorologicznej Cetereli dostrzegł na szczycie 400-metrowej jednolitej skały zwisający łańcuch żelazny i małe, obite żelazem drzwi. W roku 1948 wyruszyła specjalna ekspedycja z Aleksandrem Ażaparidze na czele, która nie znalazłszy żadnych śladów ścieżki potrafiła dotrzeć do pieczary, położonej na wysokości 4.100 metrów nad poziomem morza. W pieczarze znaleziono tron, chorągiew z XI wieku, brązowy świecznik z XII wieku, drewniane miski, ostrza strzał, gruzińskie i perskie monety z XV — XVIII wieku, oraz ślady pobytu człowieka w pierwszej połowie XIX wieku. Ostukiwanie ścian pieczary dało podstawy do przypuszczenia, że pod podłogą znajdują się jakieś skrytki czy korytarze. O tym odkryciu napisał w 1948 roku współczesny poeta N. Tichonow („Tajemnica pieczary Betlemi"), ale Andronnikow wiąże to w tak przekonywającą logiczną całość z historią Gruzji, z krążącymi wśród ludu baśniami i legendami oraz z fantastycznym ich rozwinięciem w poematach Lermontowa — że po prostu w naszych oczach opuszcza się zwodzony most między marzeniem a prawdą, baśnią a odkryciem, fantazją a rzeczywistością — po którym tak chętnie stąpa poezja.

**Jerzy Zagórski**

HENRYK GAWORSKI

# JESIEŃ

Na brzeg, na Wisłę posiekaną wiatrem
cień się sypie jak popiół z nisko obwisłych chmur.
Z brzegu biegnie miasto — aż po daleki zakręt,
szara droga wzdłuż rzeki zwija się, jak wiór.

Zamazał deszcz sylwety pnących się w niebo wieżyc,
ruiny rusztowania poplątała mgła
I tak dom co powstaje i gmach co w gruzach leży
przetapia szara jesień w jedną bryłę dnia.

Cisza jest — tak głęboka, że dech zapiera płucom.
I tylko wiatr w tej ciszy płynie jak opowieść
o tych, co poszli z miasta i nigdy nie wrócą,
i o tych co wrócili, by nigdy nie odejść.

Więc znowu ból i radość przeżywać od nowa —
każdy dzień jak spotkanie po rozłąki nocach,
giąć się pod ciosem klęski i znów się prostować,
dawną śmierć i dzisiejsze życie unieść w oczach.

Jest jeszcze pod chwastami rozwalony próg —
mój przyjaciel od kuli umarł pod tym progiem.
Za obcą sprawę głową uderzył o bruk,
gdy młodość nam ukradli i rzucili w ogień.

O Warszawo! Na wygnanie szłaś z nami, jak wyrzut,
milczenie twoich ruin dławiło, jak knebel,
na wszystkich drogach kładłaś się cieniem swych krzyżów,
czarnymi drzewami dymów huczałaś na niebie.

Wypiłem twoje dzieje, Stolico, jak piołun —
dziś inny kształt, wspanialszy wyrósł nad zwaliska.
Dzięki tobie w mych piersiach ta garstka popiołu
znów sercem jest i żyje. I kocha nad wszystko.

Tylko raz można miłość do Ciebie oszukać,
lecz tym, co oszukali, nikt z nas nie przebaczył:
nie ma dla nich powrotu — jesienie, jak kruki
będą im dziobać oczy na polach rozpaczy.

Niech naprawiają bunkry, niech ostrzą żelaza,
niech łby na nowy rozbój zakuwają w hełmy —
czas nimi już pogardził, czas na śmierć ich skazał,
a nam wystarczy siły, by wyrok wypełnić.

Jesienie, które idą, nawet ślady zatrą
po nich i po ruinach, gdzie jeszcze szalej drży.
W oknach dzieci się śmieją, kwitnie paproć,
inne, prawdziwsze szczęście przystaje u drzwi.

Rówieśnica dziewczyny we wrześniu zabitej,
dłonią od wapna białą, włosy zgarnia z czoła,
w imieniu tamtej i swoim nową jesień wita —
szczęśliwa! Los do zwycięstw ją właśnie powołał.

Ostry wiatr liście tnie. Nim wszystkie potnie
sto nowych domów stanie z betonu i stali.
Piękna, kóre codziennie mnoży się stokrotnie,
ni woda nie zabierze, ni ogień nie spali.

Jeśli już dziś, tak rośniesz Stolico, nad podziw,
jeśli tyle nadziei i sił budzisz w nas —
jak cię będziemy witać za niedługi czas,
kiedy się w nowej urodzie odrodzisz? —

Jak tęsknota w dumaniu, niecierpliwość w czynie,
myśl od blasku dni twoich żarzy się jak głóg
Warszawo! Niech już prędzej moja młodość minie,
bym wreszcie w pełnej krasie zobaczyć cię mógł.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

# TRYBUNAŁ

W Kozodrzy było tak: jak do każdej wsi, przyszedł sekwestrator. Niewysoki, młody, blondyn — Rachwał się nazywał. Zaczął urzędować od wschodniej gromadki chałup, przy moście. Z imieniem ojczyzny na ustach wyrzucał niemowlęta z kołysek, by zabrać poduszki za zaległe długi. Wolno mu był władzą. Stachniczce zajął krowę za dwadzieścia złotych, półhektarowcowi Michałowi Bernackiemu, chociaż był winien tylko grosze, zdjął zegar ze ściany i zaraz za bezcen sprzedał go napotkanemu po drodze koledze. Koszty egzekucji przerosły dziesięciokrotnie dług. „Obrobił" kilka numerów i niefrasobliwie odszedł przed wieczorem do Ropczyc, zapowiadając powrót na jutro.

Podniosły się za nim pięści. Chłopi ściągali z pól od okopków, od wycinania chwastów w jarych zbożach, gromadzili się niespokojni na radę. Zapalali się od Bernackiego gniewem. A on, przystarzały i pochylony, płonął gniewem przede wszystkim przeciwko sobie.

— Żem ja mu dał ten zegar... Ojcom się wysłużył, mnie budził, dzieci kładł spać, a teraz... Nie uratowałem go, dałem jak ten wiecheć... Trzeba było dać po łbie sekwestratorowi — nie zegar.

— To czemuście po łbie nie dali?

Ukrył zmieszanie pod siwiejącym wąsem. — Baba mnie trzymała za ręce.

Krzywda dzisiejsza mogła być kroplą wobec jutrzejszej. Przynajmniej pięćdziesiąt chałup czekało jeszcze na wyrok licytacji. Rady się więc lęgły buntownicze.

— Jutro przepędzić go na cztery wiatry!

— Stoi tak w ulotkach — ktoś nieśmiało przypomniał.

— To komunistyczne ulotki — hamował inny

—Niech będą jakie chcą, byle dobre.

— Nie — zaprzeczył poprzedni głos i gardłował dalej za umiarkowaniem, za rozwagą. — Pojedziemy do posła Piernata, żeby interweniował, żeby wstrzymał egzekucję... Moratorium ma przyjść. Do rana obrócimy tam i z powrotem.

— Obiecanki-cacanki, a głupiemu radość. Zanim doczekamy się moratorium — zostaniemy bez koszuli.

— Spróbujmy jednak z Piernatem, nie stracimy nic, a zyskać możemy.

Pojechali razem — ugodowiec i zwolennik radykalniejszego wystąpienia. Pierwszy młody, o przedwcześnie rozgoryczonych ustach reprezentował niecierpliwość „Wici", drugi — w średnim wieku — o łagodnych, uśmiechniętych wargach prezesował kołu SL.

Poseł Piernat ubolewał nad pożałowania godną sytuacją wsi, ale napomknął, że już przedtem interweniował w tej sprawie u starosty — nieszczęście przedmiówkowe jest udziałem prawie każdej wsi rzeszowskiej — jednak starosta też bezradny: trzeba płacić, państwo potrzebuje, każdy musi czuć się obywatelem...

— „Wyżyny" narodu jednak nie płacą, a czują się obywatelami pierwszej klasy — wybuchnął wiciarz, zdenerwowany „obiektywizmem" i obłudnym współczuciem posła. Wyrażał się precyzyjnie, widocznie miał wyrobione pojęcie o panujących stosunkach.

Piernat obraził się. Przykręcił knot lampy (siedzieli w pokoju, w którym sypiał), dając do zrozumienia, że wyczerpał czas. — Młody człowieku, pogadamy, gdy zmądrzejecie. Dowiecie się wtedy, co znaczy p o l i t y k a. Czyż my, jako opozycja, opozycja legalna — podkreślił — nie jesteśmy odpowiedzialni za państwo? Nie damy sobie tego prawa wydrzeć ani sanacji, ani komunie...

Chłopi czekali na wysłanników do rana. Na wszelki wypadek strugali już drągi. Dowiedziawszy się o fiasku posłannictwa, rozchodzili się spod mostu w milczeniu, ale to milczenie oznaczało decyzję. Młody gospodarz Malski, na którego wypadała najbliższa egzekucja, mocno wywinął sękatym kijem. — Ja swój plan mam, tylko mi pomóżcie.

Zjawił się wójt, Schab, wypytywał ostrożnie Malskiego, co on takiego zrobi. Łzawiły mu się oczy w prośbie, by nie strzelił głupstwa.

— Zobaczycie, co zrobię.

Poszli karmić bydło, poić konie, obrządzać gospodarstwa. Po śniadaniu zjawił się sekwestrator podwodą i z miną męczennika za ojczyznę skierował się wprost w obejście Malskiego, które wójt już wczoraj mu wskazał. Teczką oganiał się od kundla, głodzonego od wieczora, by nie żałował sobie wściekłości i kłów. — Weźcie tego bandytę! — krzyczał przestraszony sekwestrator; wywijał rękami, zamierzał się nogą — Wreszcie z sieni wyjrzał gospodarz w rozpiętej koszuli.

— Czego sobie pan życzy?

— Zajęcie idę zrobić. Psa odpędźcie.

— Rób u siebie zajęcie, dziadu — zelżył Malski, nie ruszając się z progu.

— Zrobię doniesienie — odgrażał się sekwestrator, cały w potach. O mało co nie wpadł do zagnojonej sadzawki.

— Co, do-nie-sie-nie? — syczał Malski i powoli, jakby się skradał, sunął przez podwórze obok stawiku. — Tyle się boję, dziadu sakramencki — podniósł nogę i ulżył sobie.

Sekwestrator jeszcze bardziej spurpurowiał. Zza węgła wyskoczył Bernacki i powtórzył tę samą obrazę.

— Nie bolmy się. Oddaj zegar, inaczej nie wyjdziesz żywy.

Sekwestrator oburzony, przestraszony, bezradny, obrócił się i umykał między drzewami ku drodze.

Naprzeciwko mieszkał wójt. Chłopi nie wiedzieli, że z panem Rachwałem przybył także jako ochrona policjant, i że zatrzymał się właśnie u wójta. Teraz zaczął działać. Zawołał Malskiego i Bernackiego do izby.

— Ulżyliście sobie na panu Rachwale? — zapytał ostro.

Stropili się nieco: — Panie posterunkowy, jak się komu chce, to co ma robić — pęknąć?

— Dobrze, przyznajecie się. Dobrze... dobrze... — cieszył się, że wizyta w Kozodrzy nie pójdzie na marne. — Spiszemy protokolik, a jakże. — Policjant wyjmował z ciasnego, nabitego chlebaka zeszyt i ołówek, a jego kark połyskiwał tłuszczem. — Odechce wam się na zawsze... Proszę zaczynamy... Dziś mamy dwudziestego maja, tak? — Usiadł za stołem, rozłożył papiery, poprosił do asysty pana Rachwała, a Malski i Bernacki stanęli przed nimi.

Gdy oskarżeni zostali zwolnieni, koło mostu już zgromadziło się kilkunastu sąsiadów. Chłopi ładujący na fury piasek z rzeki powierzyli lejce dzieciom i wygramolili się na brzeg, by posłuchać o zajściu.

Sprawę rozstrzygnął porywczy wiciarz. — Malski i Bernacki będą cierpieć niewinnie! Chodźmy, wyrwiemy tę kartkę z protokołem!

Pociągnął za sobą całą gromadkę, zatupotali za nim, ciężko dysząc wpadli do wójtowej izby. Jako rzecznik oskarżonych wystąpił własnie ów wiciarz, przydomkiem Orzech, bo miał bure o odcieniu orzechowym oczy. — Wyrwij no pan tę kartkę z protokołem!

Policjant pogardliwie wzruszył ramionami, uśmiechnął się wielce ubawiony:

Wynoś się, bo i ty tu wpadniesz — poklepał miłośnie chlebak, w którym znajdował się rejestr win i kar.

Chłopi spojrzeli po sobie, z tyłu ktoś rzucił gorące słowo i policjant wraz z sekwestratorem zapiszczeli cieniej. Byli mądrzy dopóki siedzieli za stołem, odgrodzeni od gromadki. Tymczasem chłopi wynieśli stół do sieni, jakby chodziło o miejsce na tańce, i wyciągnęły się ręce do nieproszonych gości. Policjant bronił się kolbą rewolweru, ale straszył tylko: bo wystrzeli, bo wystrzeli! — i krzyczał: — wójcie, ujmijcie się, wypersuadujcie szczeniakowi... — Nie zapomniał mi... rwetesu i plątaniny w głowie, że wystarczy unieszkodliwić Orzecha, by się uratować.

Wymknęło mu się niepotrzebne słowo, miało zaimponować mocą i pewnością, a rozjuszyło. Wójt ruszył się niepewnie i odtrącony wybiegł na drogę wołając o pomoc, co ściągnęło jeszcze większą nawałę na policjanta i sekwestratora. Za chwilę widziało się już tylko potargany kłąb ludzkich ciał. Pulsował jeden krzyk nawet wtedy, gdy już porwano chlebak policyjny i teczkę sekwestratorską.

— Udusić!...

Jednak nie udusili. Tamci wyrwali się jak z klatki, przemoczeni potem do suchej nitki. Triumfujący Malski twierdził nawet, że sekwestrator popuścił w portki.

Od triumfu jednak niepostrzeżenie kierowali się ku gorzkiemu zastanowieniu. To wójt mieszał w myślach ostrożnie, chociaż wcale nie namawiał do pokory. Służył sanacji, ale i w nim odzywała się chłopska solidarność.

— Gwałt — orzekł po bójce. — Przeciw prawu, powiedzą. Spacyfikują.

— Ale przecież niesprawiedliwie robili — upierał się zażarcie Orzech.

— A no, niesprawiedliwie — zgodzili się wszyscy i już zawładnęła nimi wspólna wola obrony przed ewentualną ekspedycją karną. Natychmiast utworzył się Komitet Samoobrony, na którego czele stanął właśnie Orzech, jako że był kapralem w wojsku. Jeszcze tego dnia rozesłał niecierpliwe wici na wszystkie strony świata wzywając pomocy. Od wsi do wsi niósł się tętent. Zawrzało w powiecie ropczyckim, koło Dębicy i Sędziszowa, ba, nawet w powiatach mieleckim i dąbrowsko tarnowskim. Wici przejął także towarzysz Bieszczad z Milca Podokręg partii porúszył całą ziemię do Sanu, teren zakręcił się jak młyn.

Była środa we czwartek zaczęły ściągać pierwsze kupy chłopstwa, okazało się, że wiele gromad uchodziło przed pacyfikacjami. Zostawiali w domach starców, brali co najpotrzebniejsze i najcenniejsze na plecy, na wozy, i uciekali w lasy. Tajna ręka regulowała ruch na rozstajach i decydowała o kierunku marszu. Z ust do ust z gromady do gromady szła wieść i budziła uzasadnione nadzieje.

— Pójdziemy z Kozodrzy na Warszawę! Cała Galicja!

— Robotnicy nas poprą. Czytaliście ulotki?

Projekt marszu na Warszawę narodził się w chałupie Piotra Chlędowskiego w Skrzyszowie. Chlędowski, zanim wybrał się do Kozodrzy, zbierał koło siebie mniejsze grupki karmił je, tworzył po prostu armię pod swoim dowództwem. Raz po raz posyłali gońca z wiadomościami do komunistów w Tarnowie i Dębicy.

Szli do Kozodrzy z całekich często okolic, nawet spod Krosna, ba, spod Jarosławia. Zdawało się, że cała buntownicza ziemia rzeszowska wyznaczyła sobie tu spotkanie. Posuwając się nocami, napotykając stawy, jeziora, trzęsawiska, których nie dało się przebyć z wozami zawracali i nadrabiali drogi. Zwołali się k•nuniści z dąbrowsko - tarnowskiego i ruszyli na południe.

Było ich około setki. Oni to stanęli na czele kupy chłopstwa w Dębickiem która zatrzymała pociąg i kazała się wieźć za darmo na Sędziszów. Za darmo i bez postojów bo śpieszyło się. Konduktor opierał się i mówił do chłopa ubranego w granatową, kamgarnową marynarkę, jakby skonfiskowaną gdzieś, i w dziurawe portki. Ten właśnie chłop zdawał się dowodzić.

— Ja nie pozwolę jechać — ostrzegał konduktor z rękami w kieszeni.

— Wyjmij no pan gwizdek i gwizdnij — ze sztucznym spokojem nakazywał chłop.

— Kiedy nie mogę... Naprawdę nie mogę.

— Jak wsypiemy kilka kijów w to miejsce skąd nogi wyrastają — wyczedził zimno chłop — to będziecie mogli. — I nagle dalsze słowa nabrały innego tonu: — Rewolucja, powiadam wam, nie będzie się patyczkować. Ona ma swoje porządki. Papierka ci się zachciewa od władzy... A skąd ty wiesz, że my od dziś nie będziemy władzą?

Konduktor spurpurowiał jeszcze bardziej, zawstydzony, a równocześnie uspokojony, pobiegł do maszynisty w parowozie zaś chłop zaczął opowiadać o Rewolucji w Rosji, zataczając raz po raz ręką ku wschodowi jakby podróż zamierzał doprowadzić do określonego celu. Cisnące się w oknach chłopskie twarze wyrażały podziw i zazdrość dla przeżyć ich bohatera.

SAMUEL SANDLER

# Wezwanie do czujności

Dość często czytelnik odnajdywał w ostatnich paru latach na łamach pism literackich oraz codziennych („Sztandar Młodych", „Trybuna Ludu") wiersze Tadeusza Urgacza. Zdobyły one sobie, obok jego piosenek, wstęp na estradę świetlicową, do programu młodzieżowych zespołów artystycznych. Budziły zainteresowanie czytelników i krytyki. Były niejednokrotnie przedmiotem dyskusji.

W ciągu ostatnich paru lat Urgacz drukował sporo wierszy. Objętość tomu „Uśmiech ojczyzny" *) tego jednak nie odzwierciedla. Tom jest świadectwem surowej selekcji. Powiedzmy od razu: nie zawsze zachwyci nas jej konsekwencja, sama jednakże decyzja zasługuje na aprobatę. Mimo bowiem niewątpliwych braków tomu, jego zawartość jest bardziej jednolita niż dotychczasowa twórczość poetycka Urgacza, w której było wiele nieporozumień, różnego rodzaju pomyłek. Pierwszy tomik młodego poety nie jest od nich wolny, przeciwnie, wyraźnie one na nim ciążą, ale surowy wybór, jakiego poeta dokonał, świadczy o dążeniu do przezwyciężenia ich. Świadczy o wzrastającym poczuciu odpowiedzialności ideowo - artystycznej za słowo poetyckie.

Niezbyt szczęśliwy tytuł tomu poezji Urgacza odkrywa jednak jeden z najistotniejszych motywów zawartych w niej treści. Poeta stara się ukazać urodę naszych czasów, dokonań i wysiłków naszego kraju, ważne przejawy jego historycznego rozwoju, drogi naszego narodu. Pisze o walce narodowo - wyzwoleńczej i rewolucyjnych zmaganiach proletariatu polskiego w przeszłości, pisze o bohaterach tych dziejów („fragmenty poematu o Marszałku Rokossowskim", „Dzierżyński", „Towarzyszowi Marchlewskiemu", „Pluton Kalinowskiego", „Kapitan Lucyna Hertz"), wiele wierszy poświęca budownictwu socjalistycznemu, młodzieży, przyjaźni polsko-radzieckiej, rewolucyjnej walce proletariatu świata. I to jest istotny motyw pierwszego tomu Urgacza: bije w nim mocno tętno naszego życia, naszej pracy i walki. I tętno najbardziej bezpośredniego zaangażowania intelektualnego oraz emocjonalnego poety. Odczuwamy je nie tylko tam, gdzie bezpośrednio wkracza „liryczne ja" poety, przemawia do nas zarówno apostrofą, jak zobiektywizowanym obrazem, metaforą i syntetyzującym skrótem poetyckim. Czytelnicy znają zapewne z prasy więcej fragmentów poematu o Marszałku Rokossowskim, niż weszło do tomu. Z całą pewnością mamy tu do czynienia z partiami napisanego w całości poematu, który nie wytrzymał krytyki samego poety. Partie poematu zawarte w tomie mówią wyraźnie o przyczynie. Obok pięknych fragmentów, jak chociażby ten:

*Gdy ręce sczerniałe od broni*
*zmarznięte na kamień — mdleją,*
*gdy siwy rosyjski grudzień*
*serce przeszywa zawieją,*
*gdy nie masz już w taśmie naboi,*
*gdy w płucach oddechu już nie masz,*
*gdy w oczy zagląda śmierć*
*w białogwardyjskim szynelu,*
*wtedy przez fronty, przez ogień,*
*przez wiatr, który śniegiem się pienł,*
*pochmurny i zamyślony*
*przychodzi towarzysz Lenin*

— napotykamy na fragmenty rozgadane, ogólnikowe, pozbawione sugestywności.

Wyraźnie odczuwamy spłycenie postaci wielkich wodzów rewolucji, powierzchowne na nich spojrzenie, ckliwość, która zastąpiła ostrość spojrzenia na ich historyczną rolę i wielkość. To samo śledzimy w wierszu „Uśmiech Stalina". Niepowodzenie poety w opracowaniu tych tematów nie tłumaczy się jakimś „organicznym" niedowładem. Świadczy o tym chociażby jeden z najlepszych wierszy z „Uśmiechu ojczyzny" — „Dzierżyński", który zyskuje sobie w pełni naszą aprobatę myślową i uczuciową.

Poświadczą to również piękne ustępy o przyjaźni polsko - radzieckiej („Charaszo", „Front", „Kola") mówiące o mądrym, realistycznym spojrzeniu na wojaka tęskniącego do swojej ojczyzny. Na uwagę zasługuje zwłaszcza „Charaszo", serdeczna gawęda o żołnierzu radzieckim. Ale gdy poeta mądre słowa o sensie wspólnej walki z faszyzmem zamyka bezrozskim hurra — optymistycznym „będzie charaszo — i basta" powiadamy: wcale nie basta — i tropimy dalej niedostatki utworów, raz po raz napotykając na mielizny banału, na pewne niepokojące objawy poezji Urgacza. Ukazywaniu wielkich spraw, sugerowaniu czytelnikowi wielkich przeżyć nie mogą służyć „gierki", ani ckliwe „nastroiki" („Kola"). Bo też we wszystkich wspomnianych wyżej wierszach i nie tylko w nich, głębokiej nucie przeżycia towarzyszy banalna, częstokroć rozgadana, powierzchowna deklaracja, w wybitny sposób osłabiająca poetycką wymowę utworów („Starość i młodość robotnicza", „Ballada o elektryfikacyjnej brygadzie").

Źródło niedostatków wielu wierszy Urgacza widzę w jednym: intencjom ideowym zbyt rzadko towarzyszy dyscyplina intelektualna, precyzja wyrazu. Poeta — tego nie przesłoniła surowa eliminacja z pierwszego tomu słabszych utworów poety — ulega nazbyt często spontanicznym sugestiom uczuciowym i intelektualnym. W jego wierszach jest jeszcze zbyt wiele inercyjności. Jednym z widocznych choć nienajważniejszym objawem jest, rażące poddawanie się reminiscencjom z lektury współczesnych poetów, wskutek czego do na wskroś indywidualnych obrazów i konstatacji poetyckich wdzierają się nawet zdania z zupełnie innego kontekstu („śmierci nie ma", „pali się czerwień krawatów"), osłabiające własne osiągnięcia, nadające im niezasłużone pozory wtórności. Naprawdę pozory, bo tom wierszy Urgacza nie pozwala wątpić o jego formującej się indywidualności twórczej, o zdolności celnego spojrzenia „własnymi oczami" na sprawy ludzkie naszej epoki. I dlatego sprawa dalszego rozwoju poety jest sprawą zaostrzenia rygorów intelektualnych i rygorów organizowania wyrazu wyobraźni poetyckiej. To jest sprawa najważniejsza. Jej doniosłość zarysowuje się zarówno w świetle oczywistych potknięć poety (np. porównanie ZMP do „konstrukcji z krwi i kości" — dwukrotnie, po raz wtóry z równie bezsensownym dodatkiem (o liniach precyzyjnie prostych"), jak i w świetle utworów, które należą do lepszych w tomie. Nie wahałbym się wiersz „Niespokojne szczęście" uznać za bodaj najlepszy w dotychczasowym dorobku poety. Utwór ten utrzymany w tonie bezpośredniej pogawędki, wychodzi od bardzo prostego zdarzenia jednostkowego, jakim jest zwiedzanie Mariensztatu przez przodującego hutnika. Obraz uogólnia w sposób celny szczególny typ przeżywania przez najlepszych ludzi polskiej klasy robotniczej uczuć troski i dumy budowniczych socjalizmu. Zakończenie wiersza posiadające dużą siłę mobilizacyjną, formułuje w poetyckim stylu madre hasła i postulaty ideowe. Czy obywa się tu bez przysłowiowego „ale", nie Zoila nawet, lecz czytelnika słusznie troszczącego się o słuszność sformułowań poety, ideowego poety? Myślę, że nie:

*I tak od roku, i tak co dnia*
*w pogwarze maszyn, w śpiewkach zboża*
*w piorunach rozpalonych młotów:*
*jak kłęby chmur przecina myśli*
*stróż szczęścia, twórczy nasz niepokój:*
*czy dałeś, bracie, wszystko z siebie?*
*Nam trzeba ciągle więcej szczęścia.*
*Ono niech będzie w twoim dziele,*
*w węglu, w metalu, w zbożu, w cegle,*
*ono niech będzie w złotym gronie*
*z mičurinowskich sadów, o nim*
*zbudują pieśń — i pieśń poleci —*
*inżynierowie słów — poeci.*

Gdy odczytuję ten fragment wiersza ciągle towarzyszy temu jednak przykry dysonans — pytanie: czyżby istotnie Urgacz uważał poetów za „inżynierów słów", czyżby był rozestetyzowanym smakoszem wyrażeń i skojarzeń słownych? Wiem na pewno, że nie. A jednak kłócę się o słowo. I sądzę, że słusznie, bo autor „Uśmiechu ojczyzny", który większością swoich wierszy daje dowody świadomego poimowania ideowych zadań poety, wie, że słowa znaczą, choć rzadko czujnie o tym pamięta.

*Samuel Sandler*

*) Tadeusz Urgacz: „Uśmiech ojczyzny". Wydawnictwo MON, 1952, str. 87.

ANNA BUKOWSKA

# Ludzie z przedmieść

„Domy nad Garonną"*) są trzecią z kolei powieścią młodego, utalentowanego pisarza francuskiego — Pierre Gamarra. Właściwie trudno nazwać powieścią książkę, której brak zorganizowanej, rozwijającej się fabuły powieściowej, która jest raczej obrazem—albo lepiej—kolekcją obrazków, przedstawiających na tle szarych czy rozsłonecznionych domów nad brzegiem Garonny, sylwetki ludzi z przedmieść Tuluzy. Są to robotnicy, ich zapracowane, sterane codziennymi troskami żony, ich małe i dorastające dzieci, szewc, który od rana do wieczora wystukuje młotkiem monotonnie, równo, po starych zniszczonych podeszwach, i staruszek - emeryt, którego dni mijają cicho, bezpowrotnie i jest już ich bardzo mało, wreszcie Irena, młoda dziewczyna z goryczą odtrąconej pierwszej miłości w sercu. Opowieść zaczyna się dniem, w którym syreny po raz pierwszy ogłosiły ludziom nie alarm lecz pokój, a dzieci skacząc w kółko, ostrymi, przenikliwymi głosikami wykrzykiwały — „Po-kój — po-kój". Opowieść kończy się manifestacją ludową pod hasłami — „Chleba, Pokoju", którą usiłuje zdławić policja nacierając na pochód. Ale nie, ostatni obrazek jest inny: dzieci wypuszczają na wolność dwa białe gołębie. „Dwa ptaki bielsze niż śnieg, bielsze niż chleb pszeniczny" wzbiły się nad miastem.

Ważnym osiągnięciem pisarza jest to, że potrafił tak plastycznie i bezpośrednio pokazać swoich bohaterów i fragmenty ich życia. Na kartach książki żyją ludzie prości, zwykłym dniem małych i wielkich spraw. Mimo tej powszedniej codzienności książka jest nie tylko ciekawa, ale daje również wiele estetycznego zadowolenia — jest dobrze napisana. Styl jej mówi o wielkiej wrażliwości pisarza, materiał obserwacyjny jest przetworzony artystycznie, wiele tu elementów lirycznych, nastrojowych, dużą rolę odgrywają opisy przyrody: wiatr, słońce, mgła, deszcz — wszystko to narzuca nastrój i barwę obrazom, rzuca swoje światła i cienie na życie ludzkie. W związku z tym styl Gamarry nabiera pewnych elementów impresyjności, miejscami odzywają w nim echa symbolizmu i naturalizmu.

Proza pisarza „Domów nad Garonną" jest ciekawa i bogata, jednak ściąga na siebie poważny zarzut. Ten sposób pisania nie daje wiernego odbicia rzeczywistości, za bardzo ją tonuje, łagodzi, nawet chwilami udziwnia — nie daje ostrego widzenia życia i jego konfliktów.

Książka Gamarry nie jest pozycją szturmową jak powieści Aragona czy Stila, jednak całą swą treścią głęboko, emocjonalnie związana ze sprawą ludu i sprawą pokoju. Czy może być coś bardziej wymownego jak matka, która wstępuje do Partii, żeby ocalić swe dziecko przed groźbą wojny:

„Nie chcę, nie chcę, żeby mógł mi później wyrzucać, że nie zrobiłam wszystkiego, co było w mojej mocy. Rozumiecie, wszystkiego przeciwko wojnie... Ja mam tylko jego jednego i nie chcę..."

Tak mówiła Aniela Lassalle — wdowa po robotniku, zaginionym bez wieści na wojnie w 40 roku — prosząc o przyjęcie jej w szeregi Komunistycznej Partii Francji. Różnymi drogami ludzie dochodzą do Partii.

Należy się spodziewać — biorąc pod uwagę talent i dalszy rozwój pisarza — że następne jego książki, dojrzalsze ideologicznie, staną się poważną pozycją w postępowej literaturze Francji.

Chociaż styl Gamarry stanowi nie lada jaki problem dla tłumacza, to jednak — z tym większą satysfakcją—można stwierdzić, że Jerzy Lisowski wywiązał się doskonale ze swego zadania. Przekład jest tak dobry, że dorównuje oryginałowi. Można by się spierać o jakieś poszczególne wyrazy czy zwroty, ale biorąc w całości — to jest właśnie ta książka, ten pełen uroku styl, ten sam „klimat", oddany tak dobrze przez tłumacza.

*Anna Bukowska*

*) Pierre Gamarra. „Domy nad Garonną", str. 150, tłum. z franc. Jerzy Lisowski, wyd. Czytelnik, 1952.

Ilustrował *KAJETAN SOSNOWSKI*

# LUDOWY

— Kaźmirzu Migas, toście tam w Rosji od raz wzięli pociągi? — zaniósł się młody głos.

— No a co, panom zostawić? Pamiętam, w Witebsku...

Maszynista dał przeraźliwy sygnał do odjazdu Roztrzęsiony konduktor wskoczył już w biegu na stopień wagonu i słyszał wyznanie chłopa-bolszewika:

— Dlaczego tam nie zostałem? Pewnie, że mi się podobało... Szedłem wyzwalać lud polski w 'wudziestym i dostałem się do niewoli Piłsudskiego. Odesłali mnie później do żony i dzieci.

Rozpoczął się niebezpieczny bieg pociągu bez przystanków. Tylko oszołomiony konduktor zrzucał na dworcach kartki z błaganiem, by zawiadomić linię o konieczności uwolnienia toru z innych składów. „Przy maszyniście siedzi chłopski komendant z rewolwerem". Pociąg z chłopską rebelią świstał przez stacyjki i przystanki, zasapnął się dopiero po dwóch godzinach. Buntownicy wysiedli przed Sędziszewem w szczerym polu i stąd przedzierali się na przełaj do punktu zbornego

W piątek pola Kozodrzy, pastwisko, drogi i podwórka zapełniło już przeszło pięćset wozów i prawie dziesięć tysięcy chłopów. Straż Samoobrony pełniła funkcje porządkowe i rozmieszczała przybywających według pewnego planu strategicznego. Wypytywała też o broń, uzbrojonych włączono do Straży. Wyloty wsi zatarasowano taborami, zostawiając tylko wąski przejazd. Specjalne drużyny patrolowały przestrzeń do następnych wsi — w stronę Skrzyszowa i Witkowic. Policja zapędzała się tylko do tej strefy, chłopski zwiad określał zamiary policji jako ściśle rozpoznawcze. W sobotę jednak półciężarowa terenówka z trzema policjantami w blaszakach i jednym cywilem zapędziła się koło młyna aż pod most. Nie wiadomo było, czego chcieli, pierzchli jednak czym prędzej, gdy poza nimi wyrosło kilkaset postaci gotowych zepchnąć ich do rzeki.

Orzech zarządził zerwanie mostu, sprzeciwił się temu prezes koła ludowcowego Gonciarz, ten, który wierzył w posła Piernata. Utworzyły się dwa obozy. Gonciarzowi czekali na jakąś misję dobrej woli, choćby tylko od starosty; marzenia sięgały najwyżej do wojewody krakowskiego: otrzymać satysfakcję i rozejść się do domów. Obóz Orzecha głosował za zerwaniem połączeń ze światem („chłopi i tak dojdą lasami i brodami"), za sformowaniem się w stałe jednostki i wyruszeniem na Warszawę. Pociągną z sobą dalsze powiaty za Wisłą, Kielecczyznę, Radomskie... Nie pójdą? Co, tam inna bieda?...

- Zerwać mosty w całej okolicy, poprzecinać telefony! — upierali się młodzi. — Bo inaczej zgniotą nas tu jak wszy, zanim coś postanowimy.

— Mostami nie zrobimy rewolucji w Polsce, za mało nas jeszcze — sprzeciwiali się zgrupowani koło Gonciarza. — Lada moment przyjedzie poseł Piernat.

— I ja jestem za tym — wtrącił wójt Schab — mosty to nasza robota, nasza krwawica, znów musimy budować je tymi oto rękami. — Wielu przekonał takim ujęciem sprawy.

Stanęło na tym, że zniesiono dyle tylko na moście tuż przy wsi. Obóz Orzecha czuł się jeszcze za słaby, by przeprowadzić zdecydowanie wszystkie swoje zamysły. Brak tego mostu już zabezpieczał przed niespodziankami.

Orzecha nie odstępował starszy chłop, śmiesznie długoręki, który mimo wieku zrezygnował z towarzystwa i konserwatyzmu starych.

— Słuchaj, Orzech — prawił — kręcisz się, latasz, a ci strachajły zjedzą cię w kaszy. Dlaczego to tak się działa na dwie ręce, dlaczego nie wie lewica co robi prawica? Bo ty, Orzech, nie masz żadnej władzy. Stary wójt jest dalej wójtem, rządzą dalej kumotrowie... Ech, byłem ja w Sowietach — dostałem się do niewoli z armii austriackiej — tom się napatrzył, jak tam obalali władzę. Rady stworzyli, rozumiesz... I sąd się stworzył rewolucyjny, który karał zdrajców. Bez takiego trybunału sprawa rozlezie się, zanim się naprawdę zacznie.

Okazję do stworzenia trybunału sądzącego dało złapanie szpiega. Daleko od wsi kręcił się w krzakach nadrzecznych młody, z miejska ubrany mężczyzna Nie spodobał on się chłopcom pasącym krowy, zawiadomili Orzecha. Kilku jeźdźców ze Straży pogalopowało we wskazanym kierunku, okrążyło podejrzanego, wzięło do niewoli. Zaraz spośród Samoobrony wyłonił się trybunał. Na przewodniczącego delegował Orzech owego doradcę spod Rzeszowa. Sąd odbył się natychmiast w szopie. Usta złapanego drżały Podsunięto mu do powąchania kije, ktoś zaświecił rewolwerem i oskarżony bez bicia wyspowiadał się:

— Starosta dał mi pięćdziesiąt złotych, żebym zbadał chłopskie siły, ich rozmieszczenie i zamiary.

— I podjąłeś się?

— Pięćdziesiąt złotych to pieniądz — uśmiechnął się głupkowato; ten uśmiech służył mu za obronę.

— No, jak trybunał rozsądzi?

-- Winien.

— Winien drań, gotów nas we krwi utopić.

— Zamknąć go do chlewka, a my naradzimy się nad wyrokiem— zadecydował przewodniczący.

W czasie narady głosy się ważyły. — Zabić, nie zabić... To przecież kupny dureń.

— Lepiej zaczekać do zwycięstwa — zagadał któryś roztropnie — a tymczasem wlepić mu trochę kijów, by nie myślał, że się boimy. Potem zaś sprawdzimy całą jego hipotekę...

Decyzja okazała się jednak spóźniona, gdyż oskarżony uciekł z chlewka. Niewątpliwie nie bez pomocy... Orzech krzyczał, czuł świetnie to, co rzeszowiak nazywał kontrrewolucją. Pierwszy puścił się w pogoń za zbiegiem, lecz szukaj wiatru w polu.

Siła Kozodrzy i jednocześnie obóz lewy zostały potężnie wzmocnione, gdy przybyło pięć tysięcy chłopów pod wodzą Piotra Chłędowskiego, znanego ludowca, który darł otwarcie koty z posłem Piernatem. Równocześnie nadciągnęło tysiąc chłopów z Malinowa, Róży, Wiewiórki, Zassowa... Kary koń pod Chłędowskim wiercił się, wykarmiony, jak do długiego marszu, i łypał złym okiem.

— Kto to? — zapytał ktoś Orzecha.

— Swój chłop — odpowiedział Orzech. Na 'serio bierze walkę, nie bawi się... Też był w czasie przewrotu w Rosji, służył w milicji kijowskiej.

— Ach, to dlatego on taki... Poprowadzi na Warszawę. Gdy robotnicy się ruszą, zwyciężymy.

Marszowi na Warszawę przeszkodziło przybycie w otoczeniu strojnej banderii i najbliższych współpracowników — posła Piernata. Kazał zarzucić zniesione dyle na szkielet mostu. Chłędowski krzyczał bezskutecznie. by dla wygody panów posłów nie zaprzepaszczano planu obronnego obozu I — czy tak było umówione, czy to czysty przypadek — w parę minut potem wjechały powoli do wsi, trąbiąc obficie, trzy samochody — dwa ciężarowe, naładowane policją w bojowym pogotowiu, jedna limuzyna Brnęły po piachu na sam skraj wsi ku Ostrowiu i tu przystanęły przy Schabowym płocie. Zdawało się, że chłopi rozpierzchną się na widok siły zbrojnej, ale nie, rzucili się do taborów po kłonice i karabinki Na lazurowym skrawku nieba krążyły dwa samoloty.

— Boita się? — krzyczał z wigorem stary przewodniczący trybunału i wymachiwał nad głową drągiem. — Chłop ma podkulki i kłonice u wozu, ma się czym bronić.

— Niech spróbują nas tknąć, to sieczka z nich poleci.

Także policja nie pytała o legalność, nie czepiała się robotników z czerwonymi kokardkami. Zdawała się asystować tylko limuzynie.

Chłopi, uspokojeni postawą policji, opierali się już na kłonicach jak na laskach. — Kto to przyjechał? — Może minister? — Może sam Piłsudski, albo chociaż Mościcki? — Tych by złapać, zasadzić do miski jałowego żuru i dotąd karmić, póki by nie podpisali zmiany.

Ktoś tłumił śmiech.

— Głupi, im kamień u szyi i do studni. Sami potrafimy rządzić.

Z limuzyny wysiadło dwóch panów na czarno ubranych, bladych i uroczystych. Jeszcze nie zdążyli zrobić kroku, a już się spocili i podnieśli jedwabne chusteczki do gładko wygolonych policzków. Patrząc na płot kłonic uśmiechali się niezręcznie, jakby przepraszali za najazd. W jednym, wyższym, ktoś poznał wicewojewodę krakowskiego, w drugim — starostę ropczyckiego. Ten wywabił z domu znanego sobie wójta Schaba.

— Spokój tu? — spytał go.

— A no, widzi pan starosta...

— Spokój, spokój — zaręczył poseł Piernat, który w tej chwili, zziajany, przybiegł. Dygnitarze poczuli się raźniej, ruchy odzyskały swobodę. Starosta z powrotem zapiął guzik pod szyją i zawiązał rozluźniony krawat.

— Czego żądają, panie pośle... — zagadał z głupia frant wicewojewoda. — Czyż nie szkoda im czasu... Opuszczają pilne roboty w polu...

Obłudna troska nastroiła Cegłę niezwykle porywczo. Był nagi do pasa, właśnie wyprał sobie koszulę, jeszcze suszyła się na gałęzi. Skóra opinała kościste, wychudłe plecy. Wystąpił naprzód i z niespodziewaną odwagą podszedł do samych dygnitarzy, trzymając pod pachą podkulek. Starosta opuścił drżącą rękę na kieszeń spodni.

— Czego chcesz? — warknął.

Cegła zwrócił się najpierw gwałtownie do wicewojewody. — Limuzyną jeździsz, a ja taczek porządnych nie mam, żeby gnój w pole wywieźć. Zarzynam się odrobkiem. — Zawinął podkulkiem młynka. — A jeździj sobie limuzyną, po to są fabryki, żeby je robiły, ale jak nie zmienisz dziś naszej biedy, to u-ka-tru-pię...

Dygnitarz cofnął się przerażony w stronę ciężarówek z policją. — No i co panu z tego przyjdzie, że zginę? Zostaną po mnie dzieci... dwoje dzieci i żona.

Cegła zaśmiał się jak szalony. — Nasze dzieci... miliony dzieci też są sierotami, nie ma im dać co jeść, więc tak jakby były bez ojców. Cóż to za rodzice, którzy nie mogą nakarmić dzieci. Choćby se nawet od ust odejmować, to się nie nakarmi...

Starosta parskał pobłażliwie, ukradkiem włożył rękę do kieszeni. Nadrabiał miną pohańbiony autorytet władzy.

— A ty czemu się śmiejesz? — wrzasnął Cegła i gwałtownie zamierzył się podkulkiem. — Bez koszuli zostałem pod twoimi rządami.

Staroście uwięzła drwina w gardle, stał tak z półotwartą gębą, struchlały, i ręka — zamiast broni — wyjęła srebrny krążek pięciozłotowy. — Macie, kupcie sobie koszulę.

Z kolei Cegła oniemiał, zatkała go starościńska głupota. — Patrzta, chłopy pięcioma złotymi chce się wykupić — skrzywił się boleśnie.

— Niech se tyłek utrze — w tłumie zawrzało. Sytuacja stawała się groźna. Chrzęściły w rękach drągi, z boku rozległo się repetowanie broni. — Kpinami się wywijają! Biiić!!!

Wicewojewoda duszę miał babską, bojaźliwą, ale sprytną. Zwrócił zdziwione oczy ku Piernatowi: — Panie pośle, jakie żądania?

— Pewnie moratorium, o to poszło — mruknął zmieszany poseł.

— Co ty tam o moratorium pleciesz... zdrajco! — cisnął się na Piernata Chłędowski. — Za daleko zaszło.

— Rządów chcemy! — runął powszechny krzyk.

— Rządów!!

Powietrze jakby się rozerwało pod naciskiem trzydziestu tysięcy piersi. Krzyk wyrywał się z opłotków i drzewiny, wpadał w bruzdy i na grzbiety zbóż, powracał tysięcznym echem.

— Rząą-dóóów!!

— Proszę na piśmie, proszę na piśmie — pośpieszył z ofertą wicewojewoda. — I co jeszcze więcej?

— Zaraz doręczymy — powiedział Chłędowski i pociągając za sobą paru innych wszedł do domu Schaba. Za chwilę powrócili z dwunastoma punktami żądań. Poddawali je pod głosowanie tłumu, który przytwierdzał: „tak" i znów milkł, nasłuchując.

— Żądamy natychmiastowej reformy rolnej bez odszkodowania.

— Taaak!

— Żądamy nacjonalizacji wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i rozpoczęcia wielkich robót publicznych celem zatrudnienia bezrobotnych wsi i miast.

— Taak!

— Żądamy powszechnej amnestii dla więźniów politycznych.

— Taak!

— Żądamy wolności w organizowaniu się mas pracujących.

— Taak!

— Żądamy wyłonienia demokratycznego rządu koalicyjnego i zastąpienia policji milicją ludową.

— Taak!

Chłędowski donośnym basem odczytał dwanaście punktów żądań i podał papier wicewojewodzie. — No jak, zgadzacie się? To jest nasza konstytucja.

Mimo strachu twarz dygnitarza stała się momentalnie przykra i nieuprzejma Na szyi nabrzmiały żyły Przyjął papier i odpowiedział powściągliwie: — W tej sprawie musi zadecydować Warszawa.

Chłędowski spojrzał wrogo spod zaczerwienionych powiek. Przez chwilę jeszcze wyczekiwał, potem wycedził twardo: — To nie odjedziecie stąd.

W tym momencie Orzech spojrzał na siekiery w rękach chłopów skrzyszowskich.

— Czemu stoicie? Rąbać opony! Chłędowski, rozkażcie im rąbać.

— Rąbać! — rozkazał Chłędowski.

I poszły w ruch siekiery, zabłysły ostrza, wżarły się w gumę, odrywały ją płatami, ześlizgiwały się na ramach; zachwiały się samochody, a na nich policjanci. Nie wiedzieli, co począć. Wicewojewoda szeptał zdenerwowany z posłem Piernatem. Nalegał, mało że nie składał rąk. Po skroniach lał się pot. Wreszcie Piernat, patrząc w niebo, otworzył usta, nabrał tchu i krzyknął, podnosząc się na palcach.

— Bracia chłopi, dzieją się tu rzeczy niedozwolone. Pan wicewojewoda przyjechał tu, by pogadać spokojnie, a wy brewerie stroicie. — W miarę mówienia głos jego natężał się, zdobywał pewność Obrócił się i wskazał na samotnie rosnącą wierzbę przydrożną. — Kto jest szczerym ludowcem, niech idzie za mną tam... Zrobimy wiec.

Mniej więcej połowa chłopów ruszyła za nim, kilkanaście tysięcy osaczyło samochody, jak zwierzynę, która nie powinna czmychnąć.

— Łaska boska — szepnął wicewojewoda i przeżegnał się żarliwie, idąc za Piernatem pod wierzbę.

*

O tej godzinie w niedalekiej Nockowej nareszcie zebrali się chłopi, by pośpieszyć z pomocą Kozodrzy. Dwustu chłopów uszeregowało się sprawnie czwórkami i ruszyło prosto do szosy Próbowała ich cofnąć konna policja, trzaskała kolbami karabinów po chłopskich grzbietach Skręcali się chłopi od ciosów, ale szli. Zdawało im się, że to ostatnia męczeńska droga Nie dopiąwszy celu konni policjanci pocwałowali naprzód, poprawiając na ramionach karabiny Konie uwiązali w lesie a sami zaczaili się na zakręcie w parowie. Gromada szła nieubezpieczona, bez zwiadu Padły wachlarzowato, półkolem strzały i z miejsca zwaliło się ciężko dziewięć osób, jak dziewięć dojrzałych snopów, głowami na wschód. Usiłowali się podnieść, ale ręce tylko drgały, bezsilnie zaciskały ziemię nasiąkłą krwią, i tak stygły... Już nie oderwały się twarze od niełaskawej a jakże gorącej ziemi.

**Władysław Machejek**

Z powieści o powstaniu ropczycko-rzeszowskim w 1933 r

RYSZARD MATUSZEWSKI

*DYSKUSJA O LITERATURZE*

# Czyżby obrona schematyzmu?

Przeczytałem artykuł Tadeusza Konwickiego pt. „Z zapisków schematysty" i zastanowiło mnie w nim to, że autor, nawołujący krytyków do odwagi i bezkompromisowości, wszystko co zamierzał powiedzieć — słusznego czy niesłusznego — jak najstaranniej zaszyfrował. Tak, aby nikt, broń boże, nie mógł z całą pewnością stwierdzić, o co i o kogo w danym wypadku chodzi. Na wielkiej szachownicy rozstawił pionki, mające symbolizować jakieś groźne siły, powołał do życia potężne, nikomu dotąd nieznane armie rycerzy w maskach, mające toczyć bój o nową literaturę, a czytelnikowi pozostaje tylko westchnąć. Nikt nie został nazwany po imieniu. Owszem, w całym artykule dwukrotnie padło nazwisko pisarza z krwi i kości. Jednym wymienionym jest od dawna nieżyjący Zbigniew Uniłowski, drugim — autor „Pamiątki z Celulozy" Igor Newerly. Poza tym mówi się dość ogólnikowo o pisarzach „rozmiłowanych w największych dziełach literatury mieszczańskiej" i bardzo tajemniczo o jakimś niezwykle potężnym stronnictwie „utrudniaczy". Mówi się też — jak zwykle — o krytykach, krytykach „w ogóle", którzy — zamiast krytykować — wydobywają z siebie jedynie „westchnienia zachwytu". Mówi się wreszcie o „schematystach", których dzieli Konwicki na dwie kategorie Jedną z nich przeciwstawia on „mieszczańskim estetom" i do nich zalicza — jak wynika z tytułu — sam siebie. Drugą wyrzuca poza nawias swych rozważań, określając ją jako „zwykłych grafomanów".

Z artykułu Konwickiego wynika, że cała toczona u nas walka ze schematyzmem i samo stworzenie terminu „schematyzm" było nonsensem, łączyło bowiem pisarzy najlepszych, idących najsłuszniejszą drogą, z najgorszymi, ze zwykłymi grafomanami.

Artykuł Konwickiego grzeszy ogólnikowością i niekonkretnością stawianych zarzutów. Należałoby go rozszyfrować: 1) w imię czytelnika, który, otrzymując sformułowania nie poparte konkretnymi przykładami, niczego nie jest w stanie zrozumieć; 2) w imię ścisłości samych sformułowań, które w przeciwnym wypadku wiszą w powietrzu.

### SPRAWA SCHEMATYZMU

Konwicki ma niewątpliwie rację twierdząc, że w toku ważnej i potrzebnej walki ze schematyzmem próbowali niejednokrotnie upiec swoją pieczeń przeciwnicy „nowego" w naszej literaturze. Ale z artykułu jego wynika równocześnie, że cała ta walka była mocno przesadna, że przede wszystkim wrogowie na niej skorzystali. „Schematyzm, broniąc się bardzo słabo, dawno podał tyły, znikł prawie z naszego życia" — pisze Konwicki. Z artykułu jego wynika dalej, że w tej chwili, broniąc się przed wrogami realizmu socjalistycznego i wrogami schematyzmu w jednej osobie, należy ochraniać to, co niebacznie chcieliśmy wrzucić do wspólnego worka ze schematyzmem, nową treść, nowy schemat literatury, przeciwstawiający się jej starym schematom. Konwicki zapomniał, że w toku dyskusji o schematyzmie oddzielono bardzo wyraźnie schemat jako taki, schemat w ogóle, od schematyzmu. Że pojęcie schematyzmu zanalizowano stosunkowo dokładnie, przede wszystkim w referacie J. Putramenta „O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie 1950-1952", podkreślając m. in., że „ideologiczna treść schematyzmu sprowadza się do wulgarnego socjologizmu w traktowaniu postaci powieściowej i do mechanistycznego, niedialektycznego ukazywania procesów rozwojowych naszej rzeczywistości".

Konwicki zapomniał, na czym polega różnica między nowym kształtem literatury, którego słusznie broni przed starymi schematami, a schematyzmem, który nie tylko był, ale i jest jeszcze niebezpiecznym wrogiem wielu naszych pisarzy Zgubił różnicę między tym, co stanowi przedmiot dążeń literatury realizmu socjalistycznego, a tym, co stanowi jej niewątpliwe, aczkolwiek nie jedyne niebezpieczeństwo. Zgubił zaś ją między innymi dlatego, że nie uzmysłowił sobie obrazu tej literatury w sposób jasny, nie podstawił konkretnych książek i konkretnych nazwisk pod zjawiska, które usiłował jedynie ogólnikowo scharakteryzować.

Czy rzeczywiście pod pojęciem schematyzmu należy rozumieć z jednej strony książki, wprowadzające „nowy schemat", odpowiadające nowym treściom naszego życia, a z drugiej — zwykłą grafomanię? Na pewno nie. Ironiczna aluzja w tytule może zmylić czytelnika, który gotów pomyśleć, że Konwicki nie wiadomo dlaczego przechodzi na pozycje tych, których zwalcza, jeśli idzie o stosunek do schematyzmu. Być może, iż dla wroga naszego ustroju, dla wewnętrznego emigranta, dla jakiegoś tam typu „mieszczańskiego estety", cała literatura realizmu socjalistycznego, wszelka książka zmierzająca do zrealizowania postulatów literatury socjalistycznej — to schematyzm. Dla kogoś, komu samo pojęcie pozytywnego bohatera, moralności socjalistycznej, walki o Polskę Ludową wydaje się śmieszne, sztuczne czy wrogie — schematystą będzie i Brandys, i Czeszko, i Newerly, i Stryjkowski, i wszyscy autorzy naszych najlepszych książek. Dla takich ludzi, dla miłośników literatury, wyrażającej zwątpienie i niewiarę w człowieka, nieufność do nowych sił wiodących go ku lepszej przyszłości, walka ze schematyzmem to gratka, która pozwala im krzyknąć: „cała literatura realizmu socjalistycznego — to schematyzm!" Że tacy ludzie są — nie wątpię.. Ale dlaczego Konwicki udaje że się z nimi utożsamia? Jeżeli to ma być ironia, to jest ona fałszywa i niecelna, bo artykułem swoim Konwicki dowodzi, że nie rozumie czym jest naprawdę poważne zjawisko schematyzmu Zjawisko to zanalizował szeroko i na konkretnych przykładach Putrament w cytowanym wyżej referacie. Była tam mowa o wielu książkach, które trudno zaliczyć do płodów grafomanii. Znalazły się tam nawet utwory wyróżnione nagrodami państwowymi, choć to nie oznacza, że były bezbłędne. Nie były to książki pisane z pozycji wrogich, bo schematyzm na ogół biorąc nie jest wyrazem postawy świadomie wrogiej, ale wyrazem ideologicznej i artystycznej niedojrzałości. W wyjątkowych natomiast wypadkach schematyzm może być wynikiem świadomie wrogiej postawy. Zdarzył mi się kiedyś w redakcji wypadek, że młody, inteligentny polonista, cynik z gatunku takich którzy mówią co innego po kawiarniach, a co innego piszą na zewnętrzny użytek — przyniósł recenzję chwalącą mierny tom konwencjonalnych wierszy o politycznej tematyce, wychwalając go za rzekomą zgodność z postulatami realizmu socjalistycznego. Zapytany, czy uważa te wiersze naprawdę za dobre, odpowiedział, że „według ogólnie dziś przyjętych kryteriów — tak". Był to rzadki przykład „schematyzmu cynicznego", tym razem w ocenie krytycznej. Może się taki cynizm zdarzyć i w twórczości powieściowej. Na zjazdach ZLP słyszeliśmy parę razy nieprzemyślane wypowiedzi pisarzy, którzy stwierdzali: „chcieliście powieści produkcyjnej, no to napakowałem tej produkcji ile wlazło, a teraz mnie krytykujecie". Były to też odruchy graniczące z cynizmem, ale tylko odruchy, bo nie wierzę, aby autorzy, którzy tak niezdarnie bronili swych schematycznych powieści, pisali je całkiem cynicznie. Chcieli dobrze — nie wyszło. Nikt nie uważa ich ani za wrogów, ani za grafomanów. Natomiast błędy ich utworów były poważne i trzeba było z nimi walczyć. Trzeba było i trzeba będzie nadal walczyć ze schematyzmem, ilekroć się pojawi. W żadnym wypadku nie dając się zepchnąć na pozycje tych, którzy w ogóle realizm socjalistyczny uważają za schematyzm. W żadnym wypadku nie utożsamiając schematyzmu powieści takich jak „Gorące dni" Nizurskiego czy „Penicylina" Jackiewicza ani z wzorem o jaki nam chodzi, ani z grafomanią, bo to uwłacza pisarzom, którzy w swe książki włożyli wiele rzetelnego trudu i dobrych chęci.

### „ESTECI" I „UTRUDNIACZE"

Czy istnieją pozostałości mieszczańskiego estetyzmu i formalizmu w naszej literaturze? Na pewno istnieją Czy jednak są one aż tak silne, jak to usiłuje zasugerować nam Konwicki? Mam wrażenie, że nie. Mam wrażenie, że jeśli w walce z nimi bagatelizuje się niebezpieczeństwo schematyzmu — to jest to bardzo nietrafna ocena obecnej sytuacji w naszej literaturze.

Kiedy czytałem fragment artykułu Konwickiego dotyczący tej kategorii pisarzy zdawało mi się chwilami, że cofnęliśmy się w lata „Kuźnicy", „Drewnianego konia", „Sedanu" i im podobnych książek Ilu i jakich pisarzy musi Konwicki dziś przekonywać że „piękna sztuka pisania", świecąca tylko odbitym światłem arcydzieł literatury mieszczańskiej, nie ogarnie nowych treści dzisiejszego życia? Brandysa na pewno nie musi dziś o tym przekonywać Są tacy, którzy na pozycjach estetyzmu pozostali, ale kto na nie powraca? Gdzież są ci „rozmiłowani w największych dziełach literatury mieszczańskiej" pisarze, którzy właśnie po dyskusji o schematyzmie i na skutek niej zaczęli budować sobie nowe wieże z kości słoniowej, ośmieleni krytyką „nowego"? Przyszło mi na myśl jedno nazwisko Bohdan Czeszko po napisaniu ciekawej i pionierskiej powieści „Pokolenie" opublikował kilka drobnych szkiców, subtelnych i aluzyjnych które by troszkę odpowiadały określeniom Konwickiego. Owszem, ich cieplarniany klimacik nie wydaje mi się w rozwoju Czeszki drogą najszczęśliwszą. Jeśliby następne były podobne, jeśli miałoby to stanowić coś więcej niż przygrywkę do zasadniczej melodii, niż etap dalszych poszukiwań pisarza — byłoby się może nad czym zastanawiać. Ale czy takie jedno, odosobnione i krótkotrwałe zjawisko, czy fakt, że prócz tego gdzieś tam jeszcze paru subtelniaków poprzestaje na stylistyczno - nastrojowych wprawkach — stanowi dziś problem, który by kazał nam

TADEUSZ NOWAK

## Bajka

*Byłbym pastuchem bez nazwiska*
*i grzałbym ręce u ogniska*
*wpatrzony w ciemny pień wieczoru*
*i w białe noce dworu.*

*Może bym składał wiersze ubogie*
*i odpustowe śpiewał piosenki*
*i czekał u drzwi wysokich progów,*
*aż spadnie z ganka grosik do ręki.*

*I choćbym ciosał słowo po słowie*
*smutną modlitwę w dziadowskiej mowie,*
*dziecko by nawet uniosło ramię*
*i za włóczęgą rzuciło kamień.*

— — — — — — — — — —

*W wiejskiej świetlicy siedzę na krześle*
*i na kolanach trzymam Haneczkę,*
*Haneczka „strasznie" lubi czereśnie*
*i tę, com skończył, smutną bajeczkę.*

świadczyć się diabłem schematyzmu? Chyba nie.

Czy z drugiej strony oznacza to, że nie dostrzegam w ogóle niebezpieczeństwa pozostałości estetyzmu i formalizmu w naszej literaturze? Bynajmniej. Niebezpieczeństwo takie istnieje. Istnieje ono jednak nie w tym znaczeniu, że miałoby grozić i dziś wielu naszym pisarzom, ale w tym, że wokół nielicznych jednostek uprawiających — wcale nie od czasów walki ze schematyzmem, ale dużo dawniej — tzw. „piękną sztukę pisania" powstaje aura cichego i głupawego uwielbienia garstki starych, literackich snobów. Że wąziutką, ale mocną niteczką wiąże te ich „estetyczne" upodobania ze wzdychaniem do „starych, dobrych czasów", nie Stendhala i nie Flauberta, ale Schulza, Gombrowicza i Witkacego, ale Prousta i Joyce'a, a to trochę co innego. Że wąziutką, ale mocną niteczką wiąże te ich estetyczne upodobania z tęsknotą do miłej zgniłemu, inteligencko-mieszczańskiemu serduszku postawy agnostyczno-sceptycznej, do powątpiewania, czy rzeczywiście ten socjalistyczny bohater faktycznie w życiu istnieje, czy może w ogóle z tą moralnością socjalistyczną trochę się przesadza.

A jak mamy z takimi ludźmi walczyć, jak ich przekonywać, o ile w ogóle przekonać ich można, o ile w ogóle nie wiąże się to u nich ze zdecydowanie wrogą postawą wobec naszej ideologii? Czy broniąc słabych, wulgaryzatorskich, nieudanych, choćby w najlepszej intencji poczętych płodów schematyzmu? Chyba nie. Chyba tylko przeciwstawiając im książki takie jak Newerlego, Stryjkowskiego, Putramenta, Brandysa, Czeszki (mówię o „Pokoleniu"), czy Koźniewskiego. Wrogów i to nie przekona. Ale chwaląc złe książki — nie przekonamy i tych, których przekonać można i trzeba.

Podobnie ma się rzecz z „utrudniaczami". Nie wątpię, że istnieją u nas ludzie, których cieszy każda trudność na zasadzie, że „im gorzej — tym lepiej". Niewątpliwie, mamy i pisarzy ulegających tej atmosferze, dostrzegających w sposób naturalistyczny jedynie złe, czarne strony naszego życia. Kiedy im powiedziano: „nie klajstrujcie", nie omijajcie trudności naszego życia — zaczęli w nim z uporem widzieć *tylko* trudności i piętrzyć je w sposób niedorzecznie maniakalny. Takie niebezpieczeństwo naturalizmu mieliśmy w książce Kuśmierka „Uwaga, człowiek". Podobno ujawniła je niedawno dyskusja nad nieopublikowanym dotąd scenariuszem pewnego młodego pisarza. Toteż przestrogi Konwickiego mogłyby być jak najsłuszniejsze, gdyby znowuż nie były jednostronne i nieprawdopodobnie rozdęte. Bo cóż w końcu oznacza to bicie na alarm z powodu nadciągającej rzekomo, groźnej armii „utrudniaczy"? Czy jest w tym coś nowego w stosunku do zawsze aktualnego postulatu walki z naturalizmem? Czy rzeczywiście ów naturalizm w naszej nowej prozie tak się panoszy? Chyba nie. I chyba jest to troszkę wylewanie dziecka razem z kąpielą w momencie, kiedy z drugiej strony grozi nam rzecz równie niebezpieczna jak naturalizm: lakierniictwo i obłuda. I znów z wywodów Konwickiego wynika, jakoby walka ze schematyzmem była w ogóle niepotrzebna. Jak gdyby nie była ona w istocie swej tym samym, co ostra walka z bezkonfliktowością w literaturze radzieckiej, walka ze ślepotą, z tchórzostwem, z zamykaniem oczu na zło, które faktycznie istnieje i które obowiązkiem naszym jest zwalczać. Co innego bowiem naturalizm, a co innego ostre widzenie trudności i konfliktów. Co innego zimny i obojętny stosunek do wspaniałych wyników i osiągnięć Polski Ludowej, a co innego ostre i bezlitosne chłostanie tego, co te wyniki i osiągnięcia hamuje i udaremnia.

„Oburza ich — skarży się Konwicki pisząc o zwolennikach „posępnej krytyki" — każde cieplejsze wzruszenie, każdy uśmiech pozbawiony ironii". Rozumiem go. Rozumiem go zwłaszcza dlatego, że znam jego własny styl widzenia świata, ciepły, ufny, pogodny. Rozumiem, że Konwicki - pisarz ma prawo być w tym wypadku nieco jednostronny. Ale akurat przeczytałem „Uwagi nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością dzisiejszej poezji polskiej" Franciszka Salezego Dmochowskiego, gdzie m. in. tak pisze on o „Wiesławie" Brodzińskiego: „Temu tylko nie podoba się Wiesław i inne poezje Brodzińskiego, który w szkole dworności, dowcipu i umysłowości francuskiej postradał uczucie prostej piękności i dla którego to wszystko, co się do natury zbliża, jest celem żartów i szyderstwa". Przeczytałem i zadumałem się. Bo wydaje mi się, że niezależnie od zasług, jakie ma Brodziński dla rozwoju twórczości narodowej, przeciwstawiającej się ówczesnemu kosmopolityzmowi, rażąca nas dzisiaj naiwna sztuczność jego sielanki, tak wówczas wysoko ocenianej przez niefortunnego krytyka poezji mickiewiczowskich, winna być dla nas przestrogą. Nie powinniśmy z życia nam współczesnego robić sztucznej sielanki, bo wcale jej w życiu naszym nie ma. I jeśli tak będziemy malować naszą klasę robotniczą, jak Brodziński malował lud, przyszłe pokolenia osądzą nas tak, jak my Brodzińskiego.

I tu jeszcze jedna uwaga: Konwicki w swoim artykule przekonywa rozmaitych domorosłych kandydatów na „klasyków", że dzisiejsze problemy literatury, kiedyś, w przyszłości, ustąpią miejsca innym i staną się nieaktualne, namawia ich do porzucenia wielu z nich, które jego zdaniem związane są wyłącznie z czasem dzisiejszym. Mimo iż słusznie drwi on z pisarzy, którzy nie widzą perspektyw przyszłości, nie sądzę, aby stawiał zagadnienie w sposób precyzyjny. Być może, iż przyszłe pokolenia nie będą odczuwały strachu przed wojną, albo nie będą rozumiały czym jest konflikt między rodzicami a dziećmi, ale łatwo stwierdzić, że dziś konflikty te jeszcze istnieją w bardzo różnych formach i za wcześnie było by mówić o ich obumieraniu. Przykłady Konwickiego nie są dobre.

Obumierającym konfliktem nie jest ten, o którym mniemamy, że w przyszłości nie będzie istniał, ale ten, który już dziś rozwiązało lub rozwiązuje życie. Na przykład problemy społeczne i psychologiczne związane z istnieniem u nas kapitalizmu czy resztek feudalizmu na wsi w powieści o tematyce współczesnej, na przykład problemy specjalne ginących klas społecznych.

Ale dostrzeganie zarodków nowych konfliktów w naszym życiu, co powinno stanowić główny cel pisarza, nie może w żadnym wypadku iść w parze z odrywaniem się od tego, co w życiu jeszcze istnieje, oddziaływa i tylko chcielibyśmy, aby zanikło. Byłoby to najzupełniej fałszywe odrywanie się od życia, byłoby to tworzenie zamiast literatury realistycznej — utopii. Taką utopię tworzyli zamiast realizmu niektórzy krytycy radzieccy, głoszący teorię bezkonfliktowości. Nie chcieli widzieć pewnych konfliktów jeszcze istniejących, uważając, że w społeczeństwie socjalistycznym nie powinno ich być. Źle byłoby gdyby nasi pisarze nie pisali o konfliktach, które jeszcze istnieją, z tego powodu, że dla przyszłych pokoleń mogą być one nieaktualne. Czytając Tołstoja czy Balzaka, czytamy przeważnie o nieaktualnych już konfliktach, ale wcale nam to nie przeszkadza. Czytamy bowiem o konfliktach rzeczywistych i poznajemy rzeczywiste życie, rzeczywistych ludzi epoki, w której żyli ci pisarze. Tylko takie książki się nie starzeją, które piszą o konfliktach nieurojonych. Nie mamy powodu bać się tego, że problemy dziś aktualne nie będą aktualne dla przyszłych pokoleń. Jeśli będą to konflikty rzeczywiste, jeśli będą dawać obraz *naszej* epoki — będą one zawsze żywe. Umrą natomiast na pewno te książki, których autorzy, odrywając się od rzeczywistości, będą tworzyć sztuczną sielankę czy utopie.

Występuje tu zjawisko analogiczne do tego, z jakim mieliśmy do czynienia, kiedy pisarze unoszeni fałszywymi ambicjami tworzenia literatury „na miarę europejską" uważali, iż wszystko co dotyczy życia naszego kraju, naszych właściwości narodowych, trąci partykularzem. Chcąc być czytani w Paryżu, woleli być kosmopolitycznymi naśladowcami mód paryskich, niż rzecznikami rzeczywistych, nieurojonych konfliktów w życiu własnego narodu. W Paryżu nikt ich nie czytał, a my dziś nie czytamy ich także.

### PRETENSJE DO KRYTYKI

Zastanawiające jest w artykule Konwickiego, że schematystów bito, jego zdaniem, niepotrzebnie, natomiast entuzjazm krytyki z powodu kilku naprawdę wybitnych książek, jakie się u nas ukazały, wydaje mu się dziwnie podejrzany. Dlaczego — pyta — nikt nie krytykował Newerlego? I przytacza epizod ze stryczkiem, który mu się nie spodobał. „Podejrzewam — pisze — że pisarze, o których mowa (formaliści wzgl. „utrudniacze" — przyp. mój), czytali ten fragment książki z ukontentowaniem, przerzucając bez ciekawości karty, zawierające opis walk ulicznych proletariatu Włocławka". Otóż moim zdaniem pretensja Konwickiego bardzo go demaskuje. Nie fakt, że w ogóle ma do powieści zastrzeżenia, bo spotkałem się w stosunku do niej z zarzutami poważniejszymi, ale rodzaj tej pretensji. Nie mam zamiaru bronić szczególnie epizodu ze stryczkiem, ale chciałbym podkreślić, że swoją wybitną wartość artystyczną książka Newerlego zawdzięcza nie tylko trafnej linii ideologicznej, ale i temu, że pulsuje ona życiem, tysiącem barwnych, różnorodnych szczegółów. Opis walk ulicznych proletariatu Włocławka czyta się w niej z zainteresowaniem m. in. dlatego, że pokazane w nich zostały żywe postaci, dany plastyczny obraz miasta, że wszystko to się widzi i odczuwa. U autora schematysty te same wydarzenia wyglądałyby zupełnie inaczej: uprościłby on wszystko znakomicie, odarł z tysiąca „nieistotnych" szczegółów. Zostałaby nuda. I wtedy nikt by nie przeczytał opisu walk ulicznych proletariatu Włocławka.

Newerly zna życie i jest pisarzem odważnym. Wie, że aby pokazać bohaterski patos walki rewolucyjnej, nie wystarczy jechać na samym patosie, ale trzeba pokazać rzeczywistość w sposób różnorodny. Różne mogą być środki wzbogacania kolorytu powieści, urozmaicania jej. Jedno jest pewne: jeśli ich nie ma w ogóle — powieść jest nie do czytania i choćby w zamierzeniu była najsłuszniejsza ideologicznie, w istocie wcale nią nie jest.

Czy epizod ze stryczkiem nie charakteryzuje postaci biorących w zdarzeniu udział — Szczęsnego i Czerwiaczkowej? Są u nas krytycy, którzy każdy jaskrawszy, dosadniejszy epizod powieściowy uważają na wtręt naturalistyczny, nie licząc się z faktem, że o tym, czy coś jest czy nie jest w powieści naturalizmem rozstrzyga przede wszystkim funkcja, jaką dane wydarzenie spełnia w stosunku do całej ideowo - artystycznej linii utworu. Stojąc na tym stanowisku można powiedzieć, że np. romans z Czerwiaczkową jest u Newerlego w ogóle niepotrzebny.. Albo że „Cichy Don" mógłby się doskonale obejść bez miłości Melechowa do Aksinii, bo to też naturalizm. Pewien krytyk doradził Newerlemu, aby z wydania książkowego „Pamiątki z Celulozy" usunął epizod z kąpaniem Korbala przez Szczęsnego w sadzawce. Pisarz posłuchał. Wielka szkoda.

Nie wiem, gdzie Konwicki widzi ze strony krytyki same „westchnienia zachwytu". Poza Newerlym ani jedna książka nie przeszła bez uwag krytycznych. Krytykowano Czeszkę, krytykowano Putramenta, Stryjkowskiego i Brandysa — nawet dość ostro.

A przepraszam — w imię czego Konwicki domaga się, aby książki, jak sam stwierdza — najlepsze, były równie ostro krytykowane jak książki złe, błędne, mierne? Skąd to dążenie do jakiejś „urawniłowki"? Ona dopiero byłaby dowodem tchórzliwości naszej krytyki, jej grzecznego starania, aby każdego trochę szturchnąć, trochę pogłaskać tak jak to zresztą dzieje się u nas jeszcze i teraz, przede wszystkim w krytyce teatralnej. Na ogół diabli wiedzą, jaka sztuka jest zła — a jaka dobra, bo recenzenci tak wszystko dokładnie potrafią zamącić, tak wylawirować, żeby nikogo nie ugodzić i nikogo nie nadepnąć. Zwykły śmiertelnik w żaden sposób się na tym nie wyzna. Z książkami też bywa czasem podobnie. I to właśnie jest złe, a nie to, że pewne rzeczy wyraźnie się chwali, a drugie wyraźnie gani. Zasada „niezrażania" nawet grafomanów, a szukania dziury w całym nawet u najlepszych majstrów przekreśla w ogóle znaczenie krytyki jako takiej. I dlatego zarzut Konwickiego o „mistrzach ceremonii" jest całkowicie pozbawiony podstaw.

### WNIOSKI

Co w artykule Konwickiego jest słuszne? Słuszne jest zwrócenie jeszcze raz uwagi na niebezpieczeństwa formalizmu i estetyzmu z jednej, a naturalizmu z drugiej strony na fałszywe wnioski, jakie z dyskusji o schematyzmie wyciągać próbowali i próbują niektórzy nasi świadomi lub nieświadomi przeciwnicy.

Co jest w nim niesłuszne? Niesłuszne jest zbagatelizowanie zjawiska walki ze schematyzmem, niezrozumienie istoty tej walki, istoty zjawiska schematyzmu wynikającego z poważnych ideologicznych błędów naszych pisarzy. Niesłuszne jest nieoparcie analizy o konkretne fakty literackie. Bezzasadny jest ogólnikowy atak na krytykę za chwalenie dobrych książek które się spod schematyzmu wyłamały.

W jakim kierunku powinna pójść dalsza dyskusja o naszej literaturze, jeżeli ma ona być twórcza i owocna? W kierunku uświadomienia sobie właściwej drogi rozwoju tej literatury w jej walce z wszystkimi, głównymi rodzajami błędów i niebezpieczeństw, jakie jej zagrażają. Uświadomienie sobie tej drogi nie poprzez artykuły „zaszyfrowane", ale poprzez analizę konkretnych utworów.

Zasadnicze rodzaje niebezpieczeństw grożących dziś naszej literaturze — to zarówno naturalizm oraz mieszczański formalizm i estetyzm, jak objęte wspólnym mianem schematyzmu zjawisko spłycenia obrazu naszej rzeczywistości, niedostrzegania w niej istotnych konfliktów walki klasowej, wulgarny socjologizm. Na pytanie, które z tych błędów są w danej chwili groźniejsze, odpowiedź może dać tylko konkretna analiza utworów. Na pytanie, które są groźniejsze w ogóle, nie można odpowiedzieć tak samo, jak nie można odpowiedzieć na pytanie, jakie polityczne odchylenie jest groźniejsze, prawe czy lewe. Oba są równie groźne, oba jednakowo cieszą naszych wrogów. Każdy niezdrowy płód schematyzmu cieszy ich tak samo, jak ponure błoto naturalistów, jak zawieszona w obłokach „piękna sztuka pisania" naszych oderwanych od życia estetów.

Jeśli chodzi o krytykę, to wartość jej nie zależy od tego, czy te lub inne książki będzie ona chwalić lub ganić, ale od jednolitości w należyty sposób teoretycznie podbudowanych, ideowo - artystycznych kryteriów, jakie będzie stosować. Nie jest to sprawa łatwa, i na pewno każdy z krytyków popełnia w swych ocenach błędy. Wytykając je, należy jednak, podobnie jak przy ocenie twórczości powieściopisarskiej czy poetyckiej, mówić o tych błędach w sposób konkretny. Ogólnikowe narzekania niewiele pomogą.

**Ry zard Matuszewski**

# Dwie rocznice literatury

## JANOS ARANY

Janos Arany, jeden z największych klasyków literatury węgierskiej, tworzył w połowie ubiegłego stulecia, tzn. w czasach kiedy lud węgierski walczył o niepodległość narodową i o zniesienie feudalnego ucisku. Razem z Petöfim w latach 1848/49 brał udział w węgierskich walkach narodowo-wyzwoleńczych, a po upadku powstania i po śmierci Petöfiego stał się kontynuatorem idei niepodległościowej głoszonej przez tego poetę-bohatera. Arany był w swej twórczości szczerym rzecznikiem interesów ludu. Jego wiersze i poematy, oparte przeważnie na motywach ludowych, cechuje patriotyzm, postępowość, zrozumiały dla wszystkich język oraz bogactwo środków artystycznych.

Urodził się w roku 1817. Był synem chłopa pańszczyźnianego. Ojciec z ogromnym wysiłkiem umożliwił mu kształcenie się w sławnym kolegium w Debreczynie.

Arany zaczął pisać w latach poprzedzających „Wiosnę Ludów". Opowiedział się po stronie Ludwika Kossutha, który jako przywódca partii niepodległościowej głosił konieczność oparcia się o lud, by zjednoczyć naród do walki przeciw Austrii. Ówczesny układ sił klasowych nie sprzyjał tej walce. Szlachta nie liczyła się z resztą społeczeństwa, co znalazło szczególnie jaskrawy wyraz w wyborach do parlamentu w roku 1845. Przekupstwo, szantaże, terror stosowany w agitacji wyborczej, skłoniły Arany'ego do napisania eposu pt. „Stracona konstytucja", który był satyrą na wstecznictwo polityki szlacheckiej.

W r. 1847 napisał swoje największe dzieło pt. „Toldi". Bohaterem poematu jest chłop, który dzięki swej sile charakteru i zdolnościom dostał się na dwór Ludwika Wielkiego i zasłynął jako dzielny rycerz. Arany uczynił głównego bohatera symbolem niespożytej siły ludu. Cały utwór przepojony jest duchem poezji ludowej. Charakterystyka postaci prosta, ale niezwykle plastyczna, język „Toldiego" naturalny i melodyjny. Za dzieło to poeta zdobył pierwszą nagrodę literacką.

Na początku 1848 r. poeta pracuje nad dalszym ciągiem „Toldiego". W tym czasie dociera doń wieść o wybuchu powstania. W dniu 15 marca 1848 roku lud Budapesztu pod przewodem Petöfiego ujął w ręce władzę. Arany — nie kończąc poematu — zaciąga się do szeregów rewolucji. Pisze wiersz pt. „Pieśń straży narodowej", wyrażającą uczucia żołnierzy rewolucyjnej armii ludowej. Pieśń ta była śpiewana w całym kraju podczas walk wyzwoleńczych. Redaguje gazetę ludową „Przyjaciel ludu", uświadamia naród o znaczeniu zdobyczy rewolucyjnych, a po zdradzie dworu zachęca Węgrów do dalszej walki. W wierszach drukowanych w „Przyjacielu ludu" i w popularnych wydawnictwach dodaje ducha bojownikom o wolność, a piętnuje oportunistów i ludzi chwiejnych. Po upadku powstania w obawie przed represjami ukrywa się w lasach w okolicach Szalonty, i w ten sposób udaje mu się uniknąć więzienia. Żyje z rodziną w niedostatku, dopiero w r. 1851 zostaje nauczycielem w gimnazjum.

Arany bolał bardzo nad utraconą wolnością i przegraną sprawą ojczyzny. Opłakiwał również bohaterską śmierć Petöfiego. Osamotniony poeta w jeszcze trudniejszych warunkach pielęgnował i kontynuował jego ideały. W pierwszych latach tyranii pisze „Pieśń żebraczą", opiewającą dolę żołnierza-inwalidy.

Swój protest przeciwko tyranii cesarskiej poeta wyraził w balladach, do których czerpał tematy z wypadków historycznych. W utworach pt. „Władysław Piąty", „Dwaj paziowie Szondy'ego" mówi o podłości despotów. Najwspanialsza jest ballada pt. „Wallijscy Bardowie", w której autor, opisując tyranię angielskiego króla Edwarda, czyni aluzje do cesarza Austrii, jako do sprawcy węgierskiej katastrofy narodowej. Arany pisał ten utwór w r. 1857, gdy cesarz Franciszek Józef przyjechał na Węgry, a premier cesarski wezwał poetów węgierskich, aby pisali ody pochwalne na cześć króla.

Po roku 1860, kiedy absolutyzm władzy Habsburgów pod wpływem powstań włoskich osłabł i Węgry uzyskały pozorną niepodległość, Arany został redaktorem miesięcznika literackiego a potem sekretarzem Akademii Umiejętności. Arany ma też zasługi jako tłumacz: przekłada m. in. na węgierski „Hamleta" i „Sen nocy letniej" Szekspira. W r. 1877 Arany rezygnuje ze stanowiska sekretarza Akademii Umiejętności i wycofuje się z życia publicznego. Pisze utwory liryczne i ballady, wydaje tom pt. „Jesienne kwiatki".

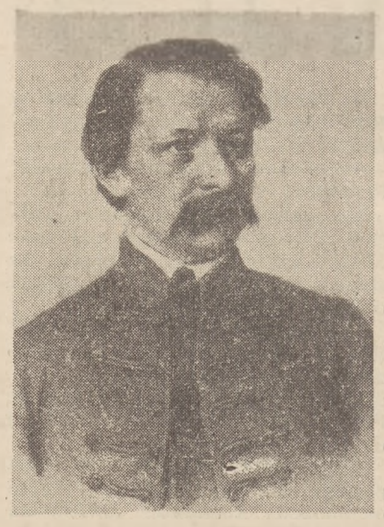

Janos Arany

Kiedy Węgry wkraczają na drogę rozwoju kapitalistycznego, Arany demaskuje destrukcyjną rolę kapitalizmu, zwraca się w utworach swych do problematyki społecznej, piętnuje nędzę i wyzysk wielkiego miasta.

W ostatnich latach życia Arany dokończył największe dzieło swego życia — „Dzieje Toldiego". Ukończenie pracy nad „Toldim" obchodzono na Węgrzech bardzo uroczyście, a w trzy lata później w r. 1882 poeta umarł w 66 roku życia.

Węgierska demokracja ludowa należycie oceniła spuściznę poetycką Janosa Arany'ego. Dwa lata temu ukazało się popularne wydanie jego wierszy. Obecnie Węgierska Akademia Umiejętności opracowuje pełny zbiór jego dzieł, obejmujący 16 tomów, z których trzy już wydano drukiem.

**Tadeusz Fangrat**

# Spotkanie z książką radziecką

## Poszukiwacze prawdy, służebnicy ludzkości

*(Dokończenie ze str 3-ej)*

Oto asystentka hoduje zakażone samiczki komara (bo tylko samica ssie krew), aby się przekonać, czy zakażona matka przekazuje zarazki swojemu potomstwu.

„...badaczka włożyła rękę do kadzi, by wydostać z niej zarażone owady i nim zdążyła je schwytać, poczuła dwa silne ukąszenia. Spojrzała na swą rękę i w tym miejscu, gdzie szwy rękawiczki pękły, znalazła dwa ssące krew komary. Badaczka wycisnęła rankę, zmyła ją spirytusem i zaczęła przygotowywać się do... tragicznego finału. Był to czas epidemii i zarazek osiągnął szczyt swojej mocy. Była obecna codziennie, gdy z sal szpitalnych wynoszono trupy. Sparaliżowani ludzie, doprowadzeni do rozpaczy, wzywali śmierć wybawicielkę. Na cóż więc teraz liczyć? Jednym, jedynym pneumokokiem można zabić mysz... A ją pokąsały dwa komary, dwa drapieżniki zdolne do powalenia z nóg olbrzyma."

A czytelnik już się zdążył przywiązać do tej badaczki, zdążył ją pokochać. I tu ogarnia go głęboki niepokój. Zachoruje, czy nie zachoruje?...

„Spójrz — zwrócił się badacz do swej żony — w jak piękne strony cię przywiozłem.

Tak powiedział uczeń Pawłowskiego, Łatyszew, do swojej żony. W trójkę — wraz z asystentką — przybyli na pogranicze pustyni Kara-Kum, a sidła mieli zastawiać na „pendyńską zarazę". Ta zaraza nie była taka straszna. Wiedziano już, że nosicielem jej jest moskit „papatachi", po którego ukąszeniu tworzył się na ciele niezbyt bolesny i łatwo gojący się wrzód. Ale moskit kąsa przecież i odkryte części ciała, a przede wszystkim twarz, na której pozostawały po wrzodach szpecące blizny. Turkmeńskie dziewczęta, których nie dosięgnął „papatachi" mówiły: szczęśliwa jestem, że na twarzy nie mam dożywotniej pieczęci.

Uczony postanowił wszystkich wybawić od śladu ukąszeń moskita.

Wraz z żoną i asystentką spędził on wiele miesięcy w przerażająco trudnych warunkach na ciężkiej pracy i uporczywych badaniach. W poszukiwaniu miejsc wylęgu moskita przerzucił i przepłukał, a następnie przesunął pod mikroskopem sterty śmieci i gnoju. Zastanawiał się i dociekał, gdzie moskit spędza ciężki okres zimowy. Ślad zaprowadził go do nory susła, których były setki tysięcy w całej okolicy. Rozstawione u wejść do nor susłów pułapki z lepu wskazały jego siedzibę. Trzeba było rozkopać wiele nor, uporać się z osami, aby dotrzeć do śpichlerzy susła i w resztkach pożywienia znaleźć larwy „papatachi". Tak odkryto wylęgarnię i siedzibę moskitów. Ale skąd moskit czerpie zarazki? Czy je przekazuje z pokolenia na pokolenie, czy wypija z czyjąś krwią? A jeśli wypija z krwią — to z czyją? Bo w norach uczony znalazł — oprócz susła — ptaki, żółwie, węże, więc Łatyszew poluje na mieszkańców nor, bada ich krew, natomiast żona i asystentka preparują moskity i larwy, prowadzą niekończące się badania.

Wreszcie po wielu trudach, niepowodzeniach i sukcesach sprawa została wyjaśniona. Susel jest zbiornikiem zarazków „pendynki". Wróg został wszechstronnie rozpoznany. Teraz przyszła kolej na podjęcie z nim walki.

Uczeni zniszczyli ponad pół miliona nor susła, w których lęgła się „pendynka". Poświęcili wiele miesięcy codziennego, zdumiewającego wysiłku tylko po to, aby Turkmenki mogły być spokojne o swoje buzie.

Ale nie tylko dlatego czyta się tę książkę z największym zainteresowaniem, że w bardzo sympatyczny sposób odkrywa ona przed czytelnikiem tajniki ciekawej gałęzi wiedzy — parazytologii, ale ze względu na jej szczególnie aktualną wymowę.

Kiedy jeden z ostatnich numerów kroniki filmowej wstrząsnął mną potwornie, pokazawszy ofiary napalmu i pielęgnowanych przez imperialistyczną „naukę" zadżumionych i cholerycznych pcheł i komarów — przeczytałem znaną mi książkę Popowskiego jeszcze raz.

Pojawiła się ona wówczas, kiedy cały świat wiedział, że hitlerowcy przy całym swoim zwyrodnieniu nie posunęli się jednak do zastosowania broni bakteriologicznej, kiedy wywołałby oburzenie każdy kto ośmieliłby się przypuszczać, że Ameryka zdobędzie się na tak wielką zbrodnię. Dziś, gdy fakty zadają kłam temu przekonaniu, potężna jest wymowa tej książki. To nie jest powieść. To jest opowieść o prawdziwych ludziach, którzy obecnie żyją i pracują.

Warto na nią zwrócić uwagę w chwili obrad XIX Zjazdu Partii, Partii, która wychowała miliony prawdziwych ludzi, Pawłowskich, Pietryszczewych, Łatyszewów, ucząc ich walczyć z wszelką „zarazą" i prowadząc do zwycięstwa.

**Bogdan Hamera**

## Przyszła mi na myśl ta oto książka...

*(Dokończenie ze str. 3-ej)*

Chciałabym wziąć tę książkę ze sobą, rozczytać się w jej stronach, rozeznać się w jej nieletnich szkolnych bohaterach, zrozumieć to wszystko, co nasyca książkę i przerasta jej pojemność. Nie mogę jednak teraz wyrazić głośno mego życzenia, nie mogę tej książki zabrać stąd, gdzie także jest, widzę, potrzebna.

Mijają miesiące. Czas mknie.

I oto już kupuję w księgarni polskie tłumaczenie tej książki wydane przez Bibliotekę Groszową w Warszawie.

Zapewne dziś „PAMIĘTNIK KOSTI RIABCEWA", napisany przez N. Ogniewa w 1923/24 roku w ZSRR, gdy państwo radzieckie znajdowało się w niezwykle ciężkim położeniu, jest już od dawna książką przebrzmiałą. To „Poemat Pedagogiczny" Makarenki jeszcze wywołuje żywe, gromadne dyskusje. Ale w tamtych latach u nas, w latach odradzającej się naszej niepodległości, od razu skażonej boleśnie brakiem sprawiedliwości społecznej, ta śmiała, gorąca, odważna książka o nowej szkole radzieckiej, tworzonej wytrwale, nie bez błędów, ale w uczciwym trudzie i w nieustającej walce — budziła głębokie, szczere zainteresowanie. Nie była „grzeczna", nie była łatwostrawna. Dla wielu spośród polskich nauczycieli stała się ostrzeżeniem i bodźcem. Uczyła wiary w młode pokolenie. My dawaliśmy ją do czytania naszym uczniom. Dyskutowaliśmy ją razem z nimi. Jej bohater, młody chłopak proletariacki, „bezpartyjny", jak na początku dziennika mówi o sobie, Kostia Riabcew, który po ciężkich zmaganiach ze sobą, po wielu walkach wewnętrznych i w utarczkach z zewnętrznymi trudnościami dojrzewa tak, że zostaje świadomym komsomolcem i organizatorem forpoczty pionierów, a gdy uradowani pionierzy podrzucają go do góry, on w całej swej prostocie i skromności nie rozumie: „za co nasi malcy tak mnie lubią?" — ten Kostia Riabcew stał się bliskim kolegą wielu ówczesnych polskich Kostków. Tak samo jak jego towarzyszka i przyjaciółka, dzielna, bezkompromisowa Sylwa, jak uratowany przez koleżeński kolektyw od okrutnej doli dzieci bezdomnych, mały, zbłąkany Aloszka.

Minęły lata brzemienne epokowymi zdarzeniami.

Dziś, gdy czytam, że w pierwszym na świecie państwie socjalistycznym, w obecnym planie pięcioletnim postanawia się:

*„Do końca pięciolatki zakończyć przechodzenie od systemu nauczania 7-letniego do powszechnego nauczania średniego (dziesięciolatka) w stolicach republik, w miastach wydzielonych, w miastach obwodowych, krajowych i w wielkich ośrodkach przemysłowych. Przygotować warunki do pełnej realizacji w następnej pięciolatce powszechnego nauczania średniego (dziesięciolatka) w pozostałych miastach i miejscowościach wiejskich".*

— mimo woli mierzę wspomnieniem „Pamiętnika Kosti Riabcewa" drogę, jaką tam uczyniono od 1924 roku do 1952.

I to właśnie stało mi w myślach, gdy przed niewieloma dniami znajdowałam się w naszym Domu Literatów w towarzystwie przodujących nauczycieli, rozważających w rozmowie ze mną, pisarką, pomocną im rolę dziecięcej literatury w wychowywaniu nowego człowieka, w umacnianiu pokoju i budowaniu prostego ludzkiego szczęścia w przyszłym państwie socjalistycznym.

**Ewa Szelburg**

# węgierskiej ENDRE ADY

*W listopadzie b.r. obchodzona była uroczyście w Węgierskiej Republice Ludowej 75-ta rocznica urodzin wielkiego poety Endre Ady.*

*Ady urodził się 22 lipca 1877 r. w Erdminaszent. Pochodził z rodziny drobnomieszczańskiej. Po ukończeniu szkoły średniej wstępuje na Akademię Prawniczą w Debreczynie i tu rozpoczyna swoją karierę literacką, wydając w r. 1899 tomik wierszy.*

*Po roku pobytu na Akademii rzuca studia, przenosi się do Nagyvarad i tu współpracuje z „Dziennikiem Radykalnym", czasopismem postępowego mieszczaństwa. Zajmuje się w tym czasie publicystyką. Artykuły jego zaprawione ostrą ironią zwrócone są przeciwko jeudaizmowi i reakcji klerykalnej.*

*W roku 1904 Ady wyjeżdża do Paryża. Pobyt w Paryżu i wnikliwa obserwacja życia burżuazji francuskiej wpłynęła na zmianę poglądów Ady'ego. Po powrocie poeta opowiada się za gnębionym ludem wiejskim. Ady spostrzegł wielką siłę rewolucyjną chłopstwa i na niej zbudował swój nowy program. Zdawał sobie jednak sprawę, że warstwa chłopska gnębiona i nieoświecona nie zdoła sama nic zdziałać. Potrzeba jej kierownictwa. Kierownictwo to widzi Ady w węgierskiej klasie robotniczej, która coraz silniej występuje przeciwko klasie panującej.*

*Pierwszym dziełem, świadczącym o dojrzałości ideologicznej i artystycznej poety jest wydany w r. 1906 zbiór poezji pt. „Nowe wiersze".*

*Wydanie tego tomu spowodowało liczne wystąpienia przeciw Ady'emu. Przeciw „Nowym wierszom" i ich autorowi rozpoczęli ofensywę przede wszystkim pisarze konserwatywni i publicyści reakcyjnego rządu z premierem hr. Stejanem Tiszą na czele.*

*Pojawienie się „Nowych wierszy" i dalszych utworów Ady'ego stało się punktem zwrotnym w literaturze węgierskiej początku XX wieku. Twórczość Ady'ego cechuje symbolizm. Ale Ady pojmował symbolizm inaczej niż poeci burżuazyjni. W jednym ze swych utworów pisze, że do Baudelaire'a i Verlaine'a pociągało go nie to, że poezja ich jest oderwana od rzeczywistości, lecz to, że czuł w nich pragnienie lepszego życia i bunt przeciw szarym, brudnym dniom kapitalistycznego świata. Twórczość Ady'ego nie jest ucieczką od rzeczywistości, a przeciwnie, jest wprowadzeniem do literatury nowych treści, związanych z walką klasy robotniczej.*

**Endre Ady**

*Nowa treść rozsadzała też symbolistyczne formy jego poezji.*

*Dalszą twórczość Ady'ego, po ukazaniu się „Nowych wierszy" cechuje rewolucyjna wiara w siłę proletariatu i ludu węgierskiego, oraz głęboka nienawiść do wyzyskiwaczy.*

*Do ważnych pozycji w jego twórczości należą m. in. takie wiersze jak „Wędrówka po kraju", „My ostatni śmiać się będziemy". „Nowy wiosenny przegląd szeregu", „Wizje na moczarach", „Karawana św. Ducha", „Pędzimy do rewolucji", „Wiersz syna robotniczego", „Na ziemi Mateusza Csaka".*

*W okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową Ady wskazuje na to, że lud węgierski w wojnie imperialistycznej będzie ginął i walczył za cudzą sprawę. Wiersze jego „Przekleństwo współczesnego proroka", „Głos grozy" itp. skierowane są przeciw propagandzie wojennej.*

*Ady umiera w r. 1919 w przededniu utworzenia Węgierskiej Republiki Rad. Jego wielkiego dorobku pisarskiego nie udało się zajałszować krytyce burżuazyjnej Twórczość jego służy dziś sprawie wyzwolonego ludu węgierskiego, budującego socjalizm.*

**Mirosława Czarowska**

## ENDRE ADY

# Na ziemi Mateusza Csaka*)

**Znosicie pańskiej dziczy katusze,**
**A przecież duma tkwi w waszych oczach,**
**Potężni wiarą, krwią odświeżeni —**
**Jesteście Bogiem na Csáka ziemi —**
**Naprzód, węgierscy proletariusze!**

**Wszystko, co młode, pełne nadziei**
**W dorzeczu Cisy — w was się skupiło.**
**Nie ma na świecie tylu niewolnych,**
**Tylu zbolałych, smutnych i głodnych,**
**Co w waszym kraju — na waszej ziemi.**

**Jesteście rzeszą głodną i smutną,**
**Spragnioną chleba, Słowa i Piękna,**
**Prawda, jak zawsze — u mas ludowych,**
**Oprawcy — gorsi od neronowych.**
**Wasze jest Dzisiaj i Wasze — Jutro!**

**Jam człowiek chory i czekać muszę,**
**Dzielnym żołnierzem być mi nie łatwo,**
**Lecz do was rwie się serce poety,**
**By z wami walczyć i biec do mety—**
**Krwi moja, bracia-proletariusze!**

przełożył **Tadeusz Fangrat**

*) Mate Csak — wybitny mąż stanu i patriota węgierski.

ZZA KULIS ATLANTYCKIEJ WSPOLNOTY

*LEONARD BORKOWICZ*

# Bunt Francji

Formalnie Francja wygrała ostatnią wojnę Faktycznie zamieniła jedną okupację, na drugą Pod rządami burżuazji Francja w latach po drugiej wojnie utraciła niepodległość, za którą setki tysięcy najlepszych Francuzów oddało życie. Burżuazja pozostała sobie wierna. Działa w myśl zasady, którą wyraziła ustami swego tak popularnego w latach trzydziestych pisarza, Jean Giono: *„Lepiej żyć na kolanach, aniżeli umrzeć stojąc"*. Dlatego monopoliści francuscy oddali swój kraj USA. Bohaterowie Monachium i Vichy żyją na kolanach i od czasu do czasu gryzą rękę, która ich w tej pozycji utrzymuje...

I

Już w czasie drugiej wojny światowej przewodniczący amerykańskiej Przemysłowej Rady Doradczej Virgil Jordan w przemówieniu z grudnia 1940 roku tak określił cele polityki USA:

*„Jakikolwiek byłby wynik wojny, Ameryka weszła na drogę imperializmu w stosunkach międzynarodowych i wszystkich innych dziedzinach swego życia Możemy unikać słowa „imperializm", które brzmi odrażająco. Wielu ludzi woli, zgodnie z obecną amerykańską modą, zastępować to określenie takim mglistym wyrażeniem, jak „obrona zachodniej półkuli" ... Bogiem a prawdą nie mamy innego wyjścia poza tym, aby kroczyć po drodze po której szliśmy w pierwszej ćwierci dwudziestego wieku, po zagarnięciu Kuby i Filipin"* (Virgil Jordan, at Investment Bankers Association).

Druga wojna światowa umożliwiła USA zajęcie miejsca imperializmu niemieckiego w Europie zachodniej. Wykorzystały one osłabienie Francji, celem wmieszania się do wewnętrznych spraw kraju, i nie dopuściły do unarodowienia francuskiego przemysłu, co stanowiło powszechnie uznany postulat francuskiego Ruchu Oporu.

I jeśli, jak Francuzi mówią, „il n'y a que le premier pas qui coûte" *) to dalej poszło już łatwo. Rząd francuski wykorzystując pomoc Marshallowską dostarczał różnym firmom na terenie Francji, za opłatą we frankach, amerykański sprzęt, przyznając jednocześnie ogromne kredyty na dalsze zakupy. Amerykańska „pomoc" dla Francji wzbogaciła w pierwszym rzędzie amerykańskie firmy! I tak Standard Francais des Pétroles, filia Standart Oil, otrzymała 3 miliony dolarów marshallowskich, Socony Vacuum, również amerykańska firma naftowa we Francji, otrzymała milion, Thomson, oddział General Electric, otrzymał przeszło 4 miliony. Czy nie cudowny mechanizm: i kieszenie pełne, i za dobroczyńcę się uchodzi!

Odmienne oczywiście skutki przyniosła marshallizacja ludowi francuskiemu. W roku 1950 dochody z podatków w budżecie państwowym wynosiły 1810 miliardów franków, co stanowiło prawie 80 proc. wszystkich dochodów. W porównaniu z rokiem 1938 ciężary podatkowe wzrosły przeszło trzydziestokrotnie!

*) Tylko początek jest bolesny.

Kilkakrotna dewaluacja franka, inflacyjna emisja (związana ze zbrojeniami) i wzrost cen doprowadziły do gwałtownego spadku realnej płacy zarobkowej. Przy końcu 1950 r cena chleba była trzy razy wyższa aniżeli w 1947 r., mleka 3 i pół raza, cukru prawie 3 razy, węgla 4 i pół raza. W 1951 roku wzrost cen był jeszcze szybszy: w ciągu jednego miesiąca — od połowy lutego do połowy marca — cena mięsa wzrosła o 17 proc., oliwy o 20 proc., mydła o 23 proc. Indeks kosztów utrzymania w Paryżu we wrześniu 1952 roku wynosił według danych oficjalnych 145, podczas gdy we wrześniu 1951 wynosił 133.

Amerykański kapitał finansowy wykorzystał plan Marshalla dla opanowania przemysłu francuskiego. Grupa Morgana, działając razem z General Motors, objęła kontrolę nad fabryką samochodów Simca i nad ważnym zakładem zbrojeniowym Manufacture d'Armes de Paris.. Inne grupy amerykańskiego kapitału zasiadły mocno w zakładach Schneider-Creusot i w wielu ważnych gałęziach przemysłu, tak że obecnie Wall-Street sprawuje nad nimi pełną kontrolę. Zużywana we Francji nafta jest rafinowana przez amerykańskie firmy we Francji. Amerykańsko-szwajcarski koncern Nestlé przejął w swoje ręce handel mlekiem w rejonie Paryża. Amerykanie produkują we Francji Coca-Cola i podkopują tradycyjną francuską produkcję wina.

Amerykanie twierdzą, że niezależność gospodarcza i polityczna (innych krajów) to anachronizm i przesąd. Francuska burżuazja z zachwytem chwyciła za to jabłko z amerykańskiego drzewa poznania. Oto co o tym pisze wybitny amerykański kapitalista Erich Johnston: *„Jak wiadomo, istnieją dwa najwygodniejsze momenty dla dokonania finansowego morderstwa kraju: kiedy kraj buduje się, lub kiedy zmierza ku katastrofie. Francuski przemysłowiec zachowuje się tak, jakby był przekonany, że jego kraj znajduje się w przededniu bankructwa. Kiedy ma okazję wypycha swoje zyski do miejsc bardziej „bezpiecznych": do Maroka, Ameryki Południowej, Szwajcarii. We Francji rozpowszechnione jest obecnie powiedzonko, że kapitalista francuski jedną nogą stoi w swoim kraju, a drugą — za Alpami albo za morzem"* („Fortune", luty, 1949, str. 120).

II

Ogromne znaczenie mają dla Francji jej posiadłości kolonialne. Są one dwa razy większe od jej terytorium, a ich ludność jest półtora raza liczniejsza od ludności Francji. Na tych terenach szczególnie zaostrzyły się sprzeczności francusko - amerykańskie.

Po wojnie kapitał amerykański zapuścił mocno korzenie we francuskich koloniach Warunkiem „pomocy" marshallowskiej było udzielenie przez Francję kapitałowi amerykańskiemu szeregu uprawnień w koloniach. Amerykanom sprzyja także polityka walutowa rządu francuskiego, który firmom amerykańskim udzielił zezwolenia wycofania w każdej chwili ich wkładów we własnej walucie i przekazywania ich za granicę podobnie jak i zysków

I tak np. koncerny Gulf Oil Corp. i Socony Vacuum otrzymały prawo poszukiwania i eksploatacji źródeł ropy naftowej we francuskiej Afryce północnej i posiadają większość akcji utworzonych tam mieszanych towarzystw amerykańsko - francuskich.

Szczególnego rozgłosu nabrała swego czasu sprawa francusko-amerykańskiego sporu o Maroko

Pragnąc ustrzec rynek marokański przed obcą konkurencją rząd francuski wprowadził w czasie drugiej wojny światowej system licencji na import towarów zagranicznych. Po wojnie system ten został zniesiony. Wykorzystał to kapitał amerykański i rozpoczął szeroką akcję zmierzającą do opanowania rynku marokańskiego W związku z tym władze francuskie przywróciły poprzedni system licencji. Departament Stanu zaprotestował przeciwko tej decyzji i zażądał nie tylko cofnięcia systemu licencji lecz także udzielenia kupcom amerykańskim specjalnych przywilejów. Amerykanie domagali się prawa importu towarów bez kontroli walutowej, zwolnienia od podatków oraz prawa korzystania ze „specjalnych przepisów celnych". Rząd francuski nie przyjął tych żądań i skierował sprawę do Trybunału Międzynarodowego. Także i na tym forum zatriumfowała amerykańska „sprawiedliwość". Trybunał uznał w zasadzie roszczenia amerykańskie za uzasadnione.

III

Stawka amerykańskiego imperializmu na Niemcy Zachodnie jako głównego partnera w bloku wojennym doprowadziła sprzeczności francusko-amerykańskie do niesłychanego napięcia.

Szczególne miejsce, jakie w planach wojennych amerykańskiego imperializmu zajmują Niemcy Zachodnie, tłumaczy się chęcią wykorzystania poważnego potencjału przemysłowego oraz kadr technicznych i wojskowych, jakimi kraj ten rozporządza.

Zaczęło się od planu Schumana. Na podstawie tego planu produkcja węgla i stali, a poprzez te podstawowe surowce i produkcja całego przemysłu ciężkiego Europy Zachodniej, została poddana kontroli amerykańsko-niemieckiego kapitału finansowego. Szczególnie dotkliwie odczuwa skutki planu Schumana sama Francja Francuski przemysł węglowy i hutniczy znalazł się pod niemiecką kuratelą. Wobec zniesienia barier celnych na węgiel i stal przemysł francuski nie może wytrzymać konkurencji niemieckiego przemysłu, rozporządzającego lepszymi warunkami technicznymi i tańszą siłą roboczą.

Nieodłączną częścią składową amerykańskiej awantury wojennej jest organizacja „armii europejskiej". Ten spisek militarystów, ku wiecznej hańbie francuskich kół rządzących związany z nazwiskiem francuskiego ministra Plevena, ma dostarczyć USA mięsa armatniego w zbójeckiej wyprawie przeciwko krajom socjalizmu. Kiedy Izba Reprezentantów odesłała z powrotem do komisji projekt ustawy o obowiązkowej służbie wojskowej, co równało się odroczeniu sprawy na dalszy rok, „Monde" pisał: *„Tak Amerykanie, którzy gwałtownie wymawiają Europejczykom, a w szczególności Francuzom, że uchylają się od podatków, wykazują głęboką odrazę do „podatku krwi", który narody starego kontynentu stale skrupulatnie płacą".*

Konsekwencje stworzenia „armii europejskiej" przedstawił francuski minister spraw zagranicznych, Robert Schuman: *„Wspólna armia pozbawiona charakteru narodowego nie podlega już i nie może podlegać władzy narodowej ani w całości, ani w poszczególnych częściach, z których się składa. Przysięgła ona na wierność wspólnocie i tylko wspólnota posiada nad nią władzę Gdyby poszczególne jej formacje podporządkowały się rozkazom rządu narodowego, uważano by je za dezerterów lub buntowników"*.

Naiwni ludzie we Francji daremnie pocieszają się, że przepisy te służyć mają utrzymaniu w karbach zachodnio-niemieckich militarystów. Decyzje w sprawach „armii europejskiej" podejmowane są przez radę sześciu ministrów spraw zagranicznych większością 2/3 głosów, przy procedurze „głosowania proporcjonalnego do włożonych efektywów". W ten sposób Niemcy dysponują 36.6 proc. głosów (Francja jedynie 24 proc.), a biorąc pod uwagę amerykańskie poparcie mogą one zawsze przeprowadzić swój punkt widzenia.

Pełnomocnik dla spraw nowego Wehrmachtu Blank oświadczył, że po ratyfikacji układu o „armii europejskiej" w Niemczech Zach. powstanie 600 000 armia. Stanowi to 30 dywizji, t. zn. tyle, ile liczyła armia kajzerowska w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej Prasa francuska konstatuje z oburzeniem, że ta ogromna liczebność kontyngentów zachodnio - niemieckich przewyższa znacznie to, co rząd francuski zapowiadał, i opiera się na tajnych klauzulach traktatu, których nie znają nawet deputowani. Jednocześnie prasa konfrontuje planowaną liczebność wojsk niemieckich ze stanem wojsk francuskich, które w metropolii, Indochinach, Korei i na innych terenach liczą zaledwie 450.000 żołnierzy „Information" pisze: *„Można śmiało wyciągnąć wniosek, że gdyby traktat o armii europejskiej został wprowadzony w życie, oznaczałby on panowanie Niemiec nad Europą i zrealizowanie hitlerowskich marzeń o hegemonii Niemiec nad starym kontynentem"*.

Zgodnie z amerykańskimi postulatami należy zachodnio niemieckiej Republice Federalnej przywrócić wszystkie prawa suwerenne, podczas gdy jednocześnie Francja ma się tych praw wyzbyć! W czasie debaty nad „pomocą" amerykańską dla Europy wniesiono pod obrady Izby Reprezentantów projekt precyzujący warunki tej „pomocy" Z projektu wynika, że *„prezydent może udzielić pomocy każdemu narodowi, a pod słowem „naród" będzie rozumiany każdy obcy rząd lub państwo, lub grupa ich, poszczególni przedstawiciele lub poszczególne grupy narodu każdego kraju, które niezależnie od tego jak powstały, zostaną przez prezydenta uznane za „narody"*. (New York Times, 26 lipca 1949) Za naród chiński uznano już klikę Czang-

*(Dokończenie na str 8-ej)*

# „Dziennik" Jana Szembeka (IX)

### ANGLICY PRAGNĄ ZWRÓCIĆ CYKLON NIEMIECKI W KIERUNKU ROSJI

*15 grudzień 1938 r. Rozmowa z Biddle.*

W związku z mową Chamberlaina, wygłoszoną na przyjęciu dla prasy zagranicznej, ambasador stwierdza, że zwroty antyniemieckie w tym wystąpieniu brzmiały sztucznie i były obliczone na galerię. Biddle utrzymuje, że w kulisach odbywają się potajemne rozmowy anglo - niemieckie. Anglia pragnie odwrócić od Zachodu zagrażający cyklon niemieckiej agresji i popycha Niemcy do konfliktu z Sowietami.

### NIEMCY KUPUJĄ W ANGLII KONIE DO WALK NA STEPACH ROSYJSKICH

*6 styczeń 1939 r.. Rozmowa z Biddle.*

Ambasador nie przypuszcza, by Niemcy zdecydowały się już teraz zaatakować Rosję. Nie są jeszcze przygotowani wojskowo. W pierwszym rzędzie, nie posiadają dosyć kawalerii, braknie im też niewielkich koników, niezbędnych w operacjach na terenie zachodniej Rosji. Sztab niemiecki starał się temu zaradzić, *nabywając w Anglii konie*, które jednak okazały się nieużyteczne.

Zdaniem ambasadora, Anglia życzyłaby sobie, by Niemcy skierowali się przeciwko ZSRR.

### KAŻDA DYWIZJA POLSKA PRZECIWKO ROSJI OZNACZA ZAOSZCZĘDZENIE DYWIZJI NIEMIECKIEJ

*8 styczeń 1939 r. Rozmowa z Lipskim.*

Lipski streszcza mi rozmowę Hitlera z Beckiem w Berchtesgaden. Hitler stwierdził, że ze względu na niebezpieczeństwo rosyjskie Polska silna jest dla Niemiec po prostu koniecznością (tout simplement une nécessité). Kanclerz podkreślił, że każda dywizja polska, użyta na froncie rosyjskim, oznacza oszczędność jednej dywizji niemieckiej. Oświadczył następnie, że Ukraina interesuje go z punktu widzenia ekonomicznego, nie politycznego.

Przechodząc do sprawy Gdańska, Hitler powiedział, że cała trudność polega na tym, że jest to miasto niemieckie, dał tu wyraźnie do zrozumienia, że Gdańsk powinien powrócić do Rzeszy.

### W GDAŃSKU NIEMCY NIE UŻYJĄ NIGDY SIŁY

*10 styczeń 1939 r. Rozmowa z Beckiem.*

Minister opowiedział mi szczegółowo rozmowy odbyte w Berchtesgaden i Monachium. Po spotkaniu z Hitlerem widział się jeszcze z Ribbentropem, którego prosił, by powtórzył Kanclerzowi, że jeśli Beck w dotychczasowych kontaktach z niemieckimi mężami stanu doznawał uczucia optymizmu, to teraz, przeciwnie, po raz pierwszy opanował go pesymizm. Przede wszystkim jeśli idzie o kwestię gdańską, tak jak została postawiona przez Hitlera, Beck nie widzi sposobu porozumienia się. Ribbentrop w odpowiedzi podkreślił, że Niemcy w żadnym wypadku nie uciekną się do użycia przemocy.

Minister powiedział mi następnie, że problem gdański istotnie jest niełatwy do uregulowania, i że trzeba się nad nim poważnie zastanowić. Istnieją dwa rozwiązania: pozostawić sprawy, jak stoją obecnie, albo znaleźć wyjście kompromisowe.

### RIBBENTROP ZACHWYCONY ARMIĄ POLSKĄ

*26 styczeń 1939 r Rozmowa z Beckiem* (w obecności Lipskiego i Łubieńskiego)

Beck opowiada nam o przebiegu wizyty Ribbentropa u prezydenta Rzeczypospolitej. Ribbentrop oświadczył oficjalnie prezydentowi, w imieniu Hitlera, że porozumienie z Polską przewidywane jest przez Niemców na długi okres, jako podstawowa teza polityczna Hitlera, który nie ma zwyczaju opierać się na układach prowizorycznych. Wreszcie między Polską a Niemcami nie istnieją trudności tego typu, by Ribbentrop wspólnie z Beckiem nie zdołali ich rozwiązać.

W rozmowie z marszałkiem Śmigłym - Rydzem Ribbentrop wyraził zachwyt dla armii polskiej. Mówił następnie o Rosji, podkreślając jej osłabienie.

*Rozmowa z Noelem* (na przyjęciu w ambasadzie Niemiec na cześć Ribbentropa). Powiedział mi, że tuż przed udaniem się na wieczór w ambasadzie niemieckiej otrzymał z Paryża instrukcję, polecającą mu zetknięcie się z Ribbentropem, skierowanie do niego kilku przyjaznych słów (quelque paroles aimables) w związku z jego niedawną wizytą w Paryżu, i oświadczenie mu, że oficjalne koła francuskie z wielką radością przyjęły wiadomość o jego przyjeździe „do naszych polskich przyjaciół".

*1 luty 1939 r Rozmowa z Beckiem.*

Omawialiśmy wizytę Ribbentropa. Minister uważa, że dobrze się stało, że Ribbentrop mógł osobiście przekonać się, czym jest Polska. Można było zauważyć, że uderzyły go nasze stare tradycje kulturalne oraz dynamizm, charakterystyczny dla dzisiejszej Polski. Rozmowy — szczególnie jeśli chodzi o Gdańsk — nie przyniosły co prawda pomyślnych rezultatów, ale mimo to Ribbentrop przekraczając granicę wysłał miły telegram, zaś Hitler mówił o Polsce z dużą sympatią w ostatnim swoim wystąpieniu w Reichstagu. To najlepszy dowód, że wizyta Ribbentropa była pomyślnym wydarzeniem.

### NIEMCY NICZEGO NIE CHCĄ OD CZECHOSŁOWACJI

*8 luty 1939 r. Rozmowa z Papée.* Informacje o podróży Chvalkowskiego do Berlina. *Nie odnosi się wrażenia, by Niemcy mieli nowe zamiary agresywne w stosunku do Czechosłowacji* Nacisk niemiecki na Chvalkowskiego zmierzał raczej ku temu, by osiągnąć zgodność polityki wewnętrznej Czech z polityką III-ej Rzeszy...

### POLACY DOWIADUJĄ SIĘ W BERLINIE, JAK ROZUMIEĆ OKUPACJĘ CZECH

Zajęcie Czechosłowacji przez Niemcy zastaje Szembeka we Włoszech, gdzie przeprowadzał rozmowy z faszystowskimi mężami stanu (przyp nasz)

*Rzym, 15 marzec 1939 r. Rozmowa z Michałem Łubieńskim* (przez telefon Rzym — Warszawa).

Zapytałem go, jak powinniśmy się zachować wobec okupacji Czech przez Niemcy, oraz jak ten fakt jest komentowany w Warszawie. Misje dyplomatyczne w Rzymie nie otrzymały na ten temat żadnych informacji ze swoich stolic. Odpowiedział, że *zwróciliśmy się do Berlina z zapytaniem, jak należy tłumaczyć ostatnie wypadki* Lipski ma właśnie rozmawiać na ten temat z Goeringiem. Co do Słowacji, ma ona być nie zajęta, ale podległa Niemcom.

### POCZĄTEK NAJAZDU NA POLSKĘ: PODRÓŻ BECKA DO BERLINA NIEMOŻLIWA

*22 marzec 1939 r. Rozmowa z Lipskim*

Lipski znajduje się w stanie krańcowego pesymizmu. Opowiedział mi swoją ostatnią rozmowę z Ribbentropem, który na nowo sformułował żądanie Gdańska, eksterytorialności i autostrady przez Pomorze.

Minister niemiecki zachował formułę grzecznościową, ale w gruncie rzeczy jego słowa były gwałtowne; powiedział na przykład, że Niemcy przyczynili się do powstania państwa polskiego. Rozmawiano też o podróży Becka do Berlina, która oczywiście, w tych warunkach, nie jest możliwa.

W Polsce nastroje są spokojne, postawa opanowana. Słyszy się natomiast bardzo surową ocenę naszej polityki zagranicznej.

### BECK WOBEC NIESPODZIEWANYCH PROBLEMÓW „NIEMCY STRACILI POCZUCIE MIARY"

*24 marzec 1939 r Konferencja u ministra Spraw Zagranicznych*

MINISTER. Sytuacja jest do tego stopnia napięta, że niezbędnym jest zanalizować ją dokładnie. Jest ona poważna, nie ma co ukrywać. Stało się to dlatego, że *jeden z dwóch składników decydujących zawsze o położeniu naszego kraju, to znaczy Niemcy* — ci stracili poczucie odpowiedzialności, jakie zachowali *do tej pory*, nawet w trudnych wypadkach. Dlatego w naszej polityce wyłania się szereg nowych spraw, oraz szereg nowych problemów staje przed Państwem polskim.

Nasz nieprzyjaciel stanowi czynnik kłopotliwy; zdaje się, że stracił on poczucie miary w myśleniu i działaniu zarazem. Może jednak odzyskać równowagę, jeśli zderzy się z postawą oporną, co mu się dotychczas nie trafiło. Niemcy jeżdżą po Europie gdzie chcą, rozporządzając *dziewięcioma dywizjami*, ale nikt nie zdoła opanować Polski podobnymi siłami.

### NIEMCY NIE SĄ PRZYGOTOWANE DO WOJNY...

*4 kwiecień 1939 r. Rozmowa z generałem Stachiewiczem.*

Generał skarży się na stosunek Francuzów do nas w dziedzinie wojskowej. Francuzi nie wykonali szczerze do tej pory zobowiązań powziętych przez nich w układzie w Rambouillet. Dostarczają nam mało materiału, zaś wiele naszych zamówień potraktowali odmownie.

Omawiamy następnie sytuację międzynarodową. Generał sądzi, że Niemcy nie są przygotowane do wojny; rozumując więc logicznie, nie powinniśmy wierzyć w możliwość konfliktu. Polityka Hitlera niewątpliwie uległa zmianie pod wpływem elementów dynamicznych partii, jak np. Ribbentrop, i dlatego przewidując możliwość wojny, należy wziąć pod uwagę brak odpowiedzialności.

### NA CZTERY MIESIĄCE PRZED WYBUCHEM WOJNY

*19 kwietnia 1939 r. Rozmowa z Beckiem.*

Minister zapytał mnie, czy uważam, że można wysłać telegram z powinszowaniami dla Hitlera, z okazji jego 50-ej rocznicy urodzin, w imieniu prezydenta Rzeczypospolitej. Odpowiedziałem potwierdzająco...

### PRZYJEMNY GOERING

*21 kwiecień 1939 r Rozmowa z I. S* (Irena Szembekowa — żona wiceministra — przyp nasz).

Podczas pobytu w San Remo spotkała ona Goeringa z żoną. Mieszkali w tym samym hotelu i odnosili się do niej z wielką serdecznością.

Goering wyglądał na zakłopotanego ostatnimi wypadkami. Odwiedzali go liczni oficerowie włoscy.

### WAŻNA WIADOMOŚĆ KONFIDENCJONALNA

*24 kwiecień 1939 r. Rozmowa z Noelem*

Ambasador powiedział mi, że Francuzi mają informacje, z których wynika, że syntetyczne wytwory niemieckie nie dają się konserwować dłużej niż dwa miesiące.

### KOLOSALNA POMOC DLA IMPERIUM BRYTYJSKIEGO: NASZA POTĘŻNA ARMIA LĄDOWA

*25 kwiecień 1939 r. Rozmowa z Kocem.*

Przyjął on z nieukrywaną radością naszą umowę gwarancyjną z Anglią. Sądzi, że umowa ta otwiera olbrzymie możliwości. Z jednej strony flota i lotnictwo Imperium stoją za nami, z drugiej zjawia się perspektywa niesłychanego rozszerzenia naszych stosunków handlowych. O ile Wielka Brytania podtrzymuje nas całą swoją potęgą morską i powietrzną, o tyle my ze swej strony dajemy *naszą wielką armię lądową*, która stanowić będzie kolosalną pomoc (une aide colossale) dla Imperium brytyjskiego.

*(Dokończenie w następnym numerze)*

Opracował **Zygmunt Kałużyński**

# ANALIZA WYKRYWA ŚLADY BIAŁKA

W gabinecie dyrektora pewnej spółdzielni wydawniczej było pusto. Dyrektor wyszedł gdzieś w pilnej sprawie, poprosiwszy przedtem, abym poczekał nań kilka minut. Rozglądając się bezmyślnie po gabinecie spostrzegłem nagle leżący na stole maszynopis. Przeczytałem napis na pierwszej stronie:

Aszach Tokajew
KONKURENCI

Komedia w czterech aktach
Przekład J. Minkiewicza i J. Prutkowskiego
Opracowanie sceniczne K. Dost.

Na tejże stronie u góry, wydawca dopisał ołówkiem. „Tłumacze — I a rata 600 zł; adaptator — 1800 zł".

— Aha, — zorientowałem się — ta komedia ma być wydana w książce. Dopisek ołówkiem określa honorarium dla jej twórców.

I z zazdrością pomyślałem o owym K. Dost. O tym K. Dost., co to 1800 złp... Musiał się biedak porządnie naharować, żeby dochrapać się tej nielichej sumki. Jakże niestarannym okazał się autor tej komedii skoro K. Dost. musiał włożyć tyle trudu, aby dzieło radzieckiego dramaturga doprowadzić do stanu „opracowania scenicznego"...

Podniosłem słuchawkę i zatelefonowałem do jednego z tłumaczy, który niedawno w „Nowej Kulturze" użalał się mową wiązaną na dopisywanie tekstów przez urzędników Centralnego Zarządu Teatrów.

— Czyście „Konkurentów", tłumaczonych na zamówienie ówczesnej Generalnej Dyrekcji T.O.F., oddali do eksploatacji w stanie niepełnym?

— Bynajmniej. Wiernie przetłumaczyliśmy sztukę z egzemplarza rosyjskiego i tekst nasz został przez Gen. Dyr. T.O.F. zatwierdzony do grania w teatrach.

— Ale piosenek nie tłumaczyliście?

— Owszem. Przetłumaczyliśmy. Tylko, jak nas poinformowano już po kilku premierach tej komedii na prowincji, nasze tłumaczenia piosenek gdzieś zaginęły.

— Więc sztuka szła wszędzie bez piosenek?...

— Z piosenkami. W Gdańsku, Bydgoszczy, Toruniu, Szczecinie dopisano piosenki miejscowymi siłami...

— Cóż to za siły?

— W wypadku bydgoskim siłą tą okazał się kierownik literacki miejscowego teatru. W innych wypadkach posady miejscowych sił nie są nam znane...

— Czy miejscowe siły były honorowane za dopisywane przez siebie dodatki?

— To łatwo sprawdzić w ZAIKS-ie.

— Leży tu przede mną egzemplarz waszego tłumaczenia z waszymi nazwiskami jako tłumaczy i z dodatkiem „Opracowanie sceniczne K. Dost." Czy wiecie coś o tym z kolei „opracowaniu scenicznym"?

Dowiedzieliśmy się o tym pokątnie — od przypadkowo spotkanej urzędniczki pewnego wydawnictwa.

— Czy uważacie za potrzebne „opracowywanie sceniczne" komedii, opracowanej już przez autora w wersji rosyjskiej?

— Uważamy to za nonsens.

— W egzemplarzu, który mam przed sobą, widzę powstawiane piosenki. Zacytuję je na wyrywki:

„Ej, już uśpionej chaty dach
Wyjrzał ponad ścieżkę,
Ej, kocha chłopak Kasię swą,
Wydłuż się troszeczkę."

Albo:

„Nocą z chłopcem iść przez wieś?
Kasia mrze ze wstydu,
Ale nogi same gdzieś
Tak jak zechcą idą."

— Te i im podobne piosenki podpisane są w egzemplarzach nazwiskiem A. Tokajewa, jako autora i waszymi nazwiskami, jako tłumaczy... Czy istotnie A. Tokajew to pisał?

— Nie.

— A czy istotnie wyście to tłumaczyli?

— Nie.

— Czy sądzicie więc, że autorem tych piosenek jest ów K. Dost.?

— Nie wszystkich. Niektóre z nich obiły się już nam o uszy. Są to bardzo kiepskie tłumaczenia innych autorów.

— A więc K. Dost., posługując się nazwiskami A. Tokajewa i waszymi, nie tylko dopisywał, ale w jeden cudzy tekst powstawiał inne cudze teksty. Cóż więc sądzicie o tego rodzaju procederze?

— Sądzimy, że należałoby przeprowadzić jego analizę...

— Analizę?...

— Tak. Bo niewątpliwie ANALIZA WYKRYJE ŚLADY BIAŁKA...

Ledwie mój rozmówca zdążył wypowiedzieć owe tajemnicze zdanie, kiedy, jak to się zdarza w warszawskich telefonach, nagle przerwano nam połączenie. W tej samej chwili do gabinetu wszedł dyrektor wydawnictwa. Zapytałem go:

— Czy możecie poinformować mnie, kto to jest ten K. Dost.?

— To jest inspektor z Centralnego Zarządu Teatrów. On już nam nieraz dostarczał... Niejaki Białek...

Zdanie o dziwnej analizie przestało być tajemnicą. Ale to mnie bynajmniej nie uspokoiło.

Istnieją dane, że afera z „Konkurentami" nie jest jedyną tego rodzaju. Istnieją dane, że ów Białek od „Konkurentów" posiada w swym procederze konkurentów bez cudzysłowu. Nasuwa się pytanie, jak długo tolerowane będzie pasożytnicze wyłudzanie zaiksowych tantiem?

Quo usque tandem?... a raczej: quo usque tantiem?...

**Nieznawuj Giez**

## WYJAŚNIENIE

W masowym nakładzie zbioru opowiadań antyfaszystowskich pisarzy niemieckich pt. „DROGA PRZEZ MROK" przez błąd techniczny pominięto nazwisko tłumacza Józefa Brodzkiego, tłumaczek dwóch opowiadań „Ołowiane żołnierzyki" i „Wallau" Janiny Mareckiej i Marii Wołczackiej oraz nazwisko Jana Petersena jako właściwego redaktora antologii.

**WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

# Bunt Francji

*(Dokończenie ze str. 3-ej)*

kai-szeka, za naród polski... morderców Martyki. Cóż dziwnego, że perspektywa niełaski w Waszyngtonie spędza sen z powiek francuskich ministrów?

IV

Dziewięć milionów obywateli Francji podpisało oświadczenie: „Jestem przeciwko remilitaryzacji Niemiec".

Na każdym kroku Francuzi gorąco manifestują swoją nienawiść do amerykańskich okupantów. Żalił się na to gorzko Eisenhower, kiedy w czasie pobytu we Francji miał okazję przekonać się o uczuciach, jakie żywią Francuzi wobec nowych okupantów. W wywiadzie udzielonym przedstawicielowi „Paris Match" 27 października 1951 r powiedział on: *„Amerykańscy żołnierze czytają często widniejące na murach ich garnizonów napisy: „The Americans must go home!"*) Dziwi ich to i piszą o tym do swoich rodzin, poprzez które wiadomości te trafiają do lokalnych gazet, gdzie czytają je czasem członkowie parlamentu. Wszystko to jest bardzo niedobre..."*

W ostatnich tygodniach gwałtownie zaostrzyły się francusko-amerykańskie sprzeczności, a wraz z tym zachwiał się cały gmach „europejskiej wspólnoty". Bezpośrednią przyczyną stała się nota wręczona rządowi francuskiemu w dniu 6 października przez ambasadora amerykańskiego Dunna. Nota krytykowała politykę podatkową, ekonomiczną i finansową rządu francuskiego w tych punktach, w których nie czyni ona zadość żądaniom amerykańskim, oraz domagała się w rozkazującym tonie wprowadzenia rozmaitych zmian w budżecie Francji. Amerykanie domagali się również, by rząd francuski przyspieszył ratyfikację układów bońskiego i paryskiego. Premier francuski zwrócił ambasadorowi amerykańskiemu jego notę jako niemożliwą do przyjęcia, oświadczając przy tym: *„Pragnę zapomnieć, że nota ta została do nas wystosowana".*

Incydent z notą otworzył tamę długo tłumionego buntu. Przeciwko amerykańskiemu imperializmowi występują już nie tylko robotnicy, chłopi, nauczyciele, pisarze i uczeni, ale nawet goniący za karierą adwokaci, którzy chętnie drapują się w togę potomków jakobinów, kapitaliści, którzy nie chcą się dać zepchnąć do roli młodszych partnerów amerykańskich miliarderów.

W francuskiej prasie burżuazyjnej zapanował napuszony styl nieustraszonych obrońców suwerenności i niezależności narodowej. Burżuazji francuskiej nie do twarzy w tym kostiumie. Wzniosłe hasła narodowe są jej potrzebne dla upiększenia celów przyświecających jej w walce konkurencyjnej z amerykańską oligarchią. Walka ta nie jest przypadkiem ani „grzechem", lecz nieuchronnym zjawiskiem w ustroju kapitalistycznym, prawem kapitalizmu. Część burżuazji chce się wyzwolić spod amerykańskiej kurateli i marzy o powrocie czasów dawnej, minionej świetności, kiedy pod wodzą Clemenceau Francja grała pierwsze skrzypce na europejskim kontynencie. Coraz mocniej rozbrzmiewa jednocześnie głos tych Francuzów, którzy, dalecy od komunizmu, z przerażeniem patrzą na upadek Francji pod rządami kosmopolitycznej burżuazji. Suwerenności i niepodległości Francji zagrażają nie komuniści, lecz amerykańscy imperialiści i sprzymierzeni z nimi niemieccy militaryści. Paryski korespondent „Washington Star" pisze: *„Przeciętny deputowany francuski, reprezentujący zwolenników centrum, a nawet grupy konserwatywne, oświadczy wam, iż podziela zdanie swych wyborców: „Rosja nigdy nie była i nie jest obecnie wrogiem Francji".*

O nastrojach panujących w społeczeństwie francuskim świadczy dobitnie ostatni kongres radykałów w Bordeaux. Na kongresie tym Daladier wystąpił stanowczo przeciwko ratyfikacji układu o „armii europejskiej" i oświadczył: *„Wszystkie rządy francuskie od pięciu lat utrzymywały, że nigdy nie będzie armii niemieckiej, a dziś ci sami ministrowie zgadzają się na powstanie armii niemieckiej".*

W kilka dni potem prezydent Auriol skorzystał z obecności ambasadora amerykańskiego na otwarciu zapory wodnej w Donzère Mondragon, aby publicznie ustosunkować się do faworyzowania niemieckiego militaryzmu przez USA: *„Jakkolwiek nie odczuwamy nienawiści do tych, którzy zadali nam tyle cierpień, to jednak wychwalanie ich dyscypliny i dążeń do potęgi wobec rzekomej lekkomyślności Francji, głęboko nas rani. Jest to tak, jak gdyby zwyciężony miał korzystać ze wszystkich względów pod pretekstem, że odzyskuje on siły, i jak gdyby agresor zasługiwał na większą zachętę niż jego ofiara".*

O powszechności buntu przeciwko amerykańskiej dyktaturze we Francji świadczą wymownie ostatnie oświadczenia Jean Paul Sartre'a, wodza egzystencjalistów, bożyszcza i proroka francuskiej i nie tylko francuskiej burżuazji. Do niedawna mieszczuch z uwielbieniem słuchał każdego jego słowa, traktując je niemalże jak objawienie. Ale to co Sartre w lipcu napisał w „Les Temps Modernes" i w październiku w „Ce Soir" i w „Liberation", przyjęte zostało głuchym milczeniem. Zwracając się do Amerykanów i ich popleczników we Francji Sartre pisał: *„Czy nie twierdzicie nieustannie, że pragniecie pokoju? Cóż, szukam daremnie waszej gałązki oliwnej, ale widzę jedynie wasze bomby... Publikujecie wyniki waszych eksperymentów atomowych i chwalicie się, że możecie zniszczyć Moskwę w ciągu 48 godzin: oczywiście wszystko to w interesie pokoju. Od jednej agresji kroczycie do drugiej, w Grecji, w Berlinie, na Korei, ba, nawet w Paryżu giną codziennie ludzie: oto jest wasz pokój, pokój strachu. Gdyby Związek Radziecki bał się tak samo jak wy się boicie, to z waszego pokoju dawno wyrosłaby już wojna. Ale Związek Radziecki chce pokoju i udowadnia to codziennie...*

*Powiadacie, że jesteście realistami. Cóż, w wojnie anno czterdzieści realistami nazywano Francuzów, którzy kolaborowali z armią niemiecką; dziś jest według was realistą Francuz, który Związek Radziecki uważa za dzieło szatana i ukrywa się za plecami Amerykanów..."* (Les Temps Modernes, lipiec).

*„Teza, że wojna w Indochinach jest niemoralna, nie jest wyłączną własnością komunistów. Rząd francuski chciałby, aby w tę wyłączność uwierzyło społeczeństwo francuskie, dokonując aresztowań i próbując posłów komunistycznych pozbawić nietykalności. W ten sposób rząd chce ukryć fakt, że w rzeczywistości szerokie warstwy ludności podzielają ten pogląd komunistów. Istnieje pilna konieczność zespolenia sił lewicy z komunistami".* (Liberation, 16 października).

Sprzeczności francusko-amerykańskie rosną i potężnieją. Rozsadzają one jedność bloku atlantyckiego i utrudniają realizację agresywnych planów. Rozwój wypadków z całą mocą potwierdza słuszność twierdzenia Stalina, że ujarzmione przez USA kraje kapitalistyczne będą starały się wyrwać z niewoli amerykańskiej i wkroczyć na drogę samodzielnego rozwoju.

**Leonard Borkowicz**

*) „Niech Amerykanie idą do domu!"

# 13 postaci w poszukiwaniu autora

*W numerze 44 „Nowej Kultury" ogłosiłem artykuł „Reżyser czy dramaturg", kwestionujący w związku z wrocławską premierą „Procesu" Berwińskiej zasięg i granice kompetencji reżysera na odcinku tekstu. Uwagi moje bardzo się nie spodobały Bogdanowi Butryńczukowi. W olbrzymim artykule „Dwa procesy", zamieszczonym w n-rze 13 „Przeglądu Kulturalnego", Butryńczuk olimpijskim tonem oświadcza, że pytanie „reżyser czy dramaturg" jest naiwne „jakby chodziło tu o profesjonalny prestiż, a nie o dobro sztuki". Nie ma sensu — rzecze Butryńczuk — podchwytywać tego pytania, „ponieważ padło ono w fałszywym kontekście" (pięknie powiedziane!)*

*Pozostając dalej na Olimpie Butryńczuk poucza łaskawie, że tacy pisarze, jak Gorki i Czechow pozwalali teatrowi na pewne zmiany swoich tekstów, a radzieccy reżyserzy współcześni, jak Vivien i Zawadskij stale zmian tych na sztukach współczesnych dokonują. Szanowny obywatelu Bogdanie! Nikt nie twierdzi, że reżyser nie ma prawa wpływać na tekst, o ile nam jednak wiadomo, ani Gorki, ani Czechow nie dopuścił do tego, o czym Pan sam pisze w swoim elaboracie, a mianowicie, by reżyser z własnej inwencji powołał do życia trzynaście postaci, których u autora nie było, no i dopisał, względnie kazał dopisać dwa nowiusieńkie akty.*

*W rozważaniach moich starałem się na przykładach pokazać, że większa przynajmniej część zmian „Procesu" wrocławskiego jest mało uzasadniona i nieprzekonywająca. Ob. Bogdan B z „Przeglądu Kulturalnego" dobrze się napocił, by zmiany te i inowacje zachwalić. Oto próbka tego zachwalania: „Wprawdzie dopisana rola matki Jana Wieńca wydaje się dodatkiem zbytecznym, jednak okupuje go uzyskany efekt sceniczny o bardzo mocnym ładunku"...*

*Oto jakie są skutki, kiedy ktoś zamiast szczerze, po przyjacielsku i po ludzku podyskutować wsiada na wysokiego konia.*

**Jacek Frühling**

Ocena przez ob. Bogdana B. „dopisanej" roli matki Jana Wieńca jest klasycznym przykładem dość rozpowszechnionej w naszej krytyce maniery glicerynicznej, aczkolwiekowotojednakowej, w której główny ciężar myśli piszącego pada na przysłówki („wprawdzie" — „jednak"), a nie na rzeczowniki.

Jest takie przysłowie rosyjskie „ni w gorodzie Bogdan, ni w siele Selifan". Albo „ni ryba, ni mięso". Albo po polsku: „i Bogu świeczkę i diabłu ogarek".

Z poważaniem
**Nieznawuj Giez**

# Wall Street

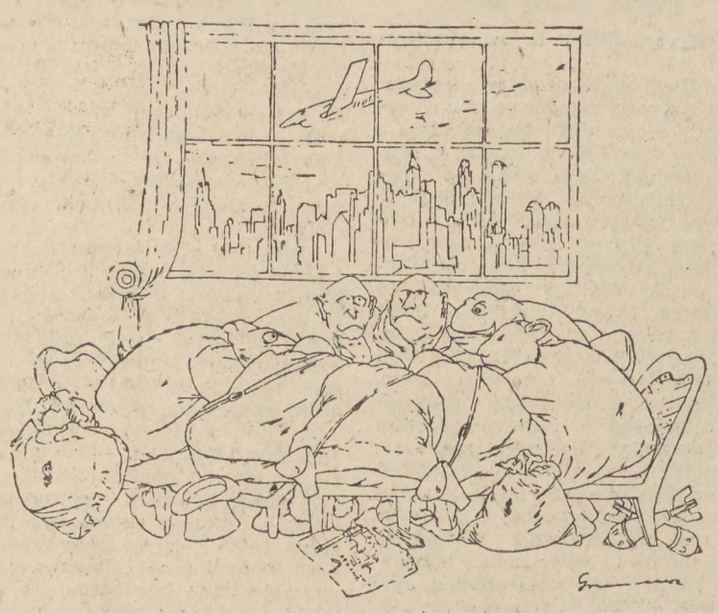

*Rys. Grunwald*

# Z życia Z.L.P.

### O TWÓRCZOŚCI GAJDARA

Dnia 12 listopada odbyło się zebranie sekcji literatury dla dzieci i młodzieży przy warszawskim oddziale ZLP, poświęcone twórczości A. Gajdara.

Kol. Helena Bobińska poruszyła w zagajeniu wiele ciekawych zagadnień, rozwiniętych następnie w ożywionej i interesującej dyskusji.

Przede wszystkim rozpatrywano twórczość Gajdara, jako wzorowego pisarza realizmu socjalistycznego. Podkreślano, że nie tylko potrafił on wydobyć z bogatej rzeczywistości radzieckiej najżywotniejsze, istotne sprawy i przedstawić je w atrakcyjny, interesujący i artystycznie doskonały sposób, lecz również umiał zawsze utrzymać bojową postawę i postulujący, twórczy stosunek do życia.

Kol. Osińska w dłuższym przemówieniu omówiła zagadnienie subtelnego i bardzo trafiającego do dzieci humoru Gajdara. Dalej w dyskusji zabierali głos kol. kol. Serkowska, Grodzieńska, Watt, Warneńska, Kowalewska, Żółkiewska, Życki i inni.

(em)

### O NOWYCH POWIEŚCIACH BĄDKOWSKIEGO I FLESZAROWEJ

Trzy odbyte ostatnio zebrania sekcji twórczej oddziału gdańskiego ZLP poświęcone były zagadnieniu prozy o tematyce współczesnej. Na pierwszym z nich, w środę, 29 października Stanisława Fleszarowa odczytała dwa rozdziały swojej powieści pt. „Dziewczęta z Wieży Babel". 5 bm. Franciszek Fenikowski referował konspekt i pierwszy rozdział opowiadania Lecha Bądkowskiego. Opowiadanie to o nieustalonym jeszcze tytule mówi o życiu młodzieży wsi pomorskiej. 12 bm. Lech Bądkowski referował fragmenty nowej marynistycznej powieści Ireny Przewłockiej.

W dyskusji brali udział: Lech Bądkowski, Franciszek Fenikowski, Eugenia Kobylińska, Zofia Meissner, Róża Ostrowska, Irena Przewłocka, Sławomir Sierecki, Malwina Szczepkowska, Władysław Szremowicz, Włodzimierz Wnuk i Mieczysław Zydler.

fen

### WYNIKI KONKURSU IM. TADEUSZA BOROWSKIEGO

Z.G. ZLP rozpisał niedawno dla wszystkich kół młodych, konkurs im. T. Borowskiego na utwór literacki o dowolnej tematyce i formie. Jury konkursu w składzie: Zofia Nałkowska, Lesław Bartelski, Jerzy Broszkiewicz, Krzysztof Gruszczyński, Jacek Bocheński i Arnold Słucki po rozpatrzeniu nadesłanych prac w ilości 138 orzekło nie przyznawać I i II nagrody.

Uchwalono przyznać 3 równorzędne III nagrody: powieści pt. „Wyspa ocalenia" autor — Włodzimierz Odojewski, bajce p.t. „Zwycięstwo sportowe" — autor Mirosława Kuszowa, wierszowi p.t. „Do traktorzysty" — autor Urbański.

Ponadto jury wyróżniło dwa opowiadania: „Chrzest" — autor Tadeusz Mikołajek i „Ciemne okulary" — autor Halina Filutowicz.

### NIEUDAŁE ZEBRANIE

W dniu 24 listopada w Związku Literatów w Warszawie zorganizowano zebranie poświęcone nowowystawionej sztuce Roger Vailanda „Pułkownik Foster przyznaje się do winy". W zebraniu wziął udział autor sztuki. Zebranie stanowiło przykład jak podobnych imprez urządzać nie należy. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że zorganizowanie go nastręczało trudności. Termin jego był związany z obecnością R. Vaillanda w Warszawie, tymczasem ze sztuką jego mało kto zdążył się już zapoznać. Nawet premiera prasowa odbyła się dopiero w dwa dni później. Tym bardziej należało się z tym liczyć i albo odpowiednio dyskusję przygotować, albo uczynić ze spotkania z autorem „Dziwnej zabawy" imprezę nieco innego typu: po prostu prosić autora o wygłoszenie prelekcji bądź związanej z wystawioną sztuką, bądź na inny temat, dotyczący np sytuacji współczesnej literatury francuskiej. Nie zrobiono ani jednego, ani drugiego. Wezwano zebranych do zadawania pytań autorowi. Z pytań osób nieprzygotowanych do dyskusji i przypadkowych odpowiedzi autora powstał chaos, który powiększało nieudolne tłumaczenie, zdanie po zdaniu, wszystkich kwestii. Większość osób, które przyszły z nadzieją na wysłuchanie prelekcji pisarza, wyszło z uczuciem zawodu. Autor, który mógł liczyć na dyskusję na temat swej sztuki, doznał zapewne zawodu podobnego. Nauka na przyszłość — zebrania podobne należy organizować, a nie zdawać się na staropolskie „jakoś to będzie".

r. m.

# U PRZYJACIÓŁ

## Wieczór jednego wiersza

Taki tytuł nosiła impreza, zorganizowana 15 listopada b. r. przez sekcję poezji Związku Pisarzy Radzieckich. Przewodniczyła Wiera Inber, która oznajmiła na wstępie, że „wieczory jednego wiersza" w moskiewskim Domu Literatów mają już swoją tradycję i zawsze cieszą się dużym powodzeniem.

Również i tym razem sala była pełna. Występowało trzydziestu trzech poetów, z których każdy odczytał jeden ze swych najnowszych, nieopublikowanych jeszcze utworów. Obok znanych i zasłużonych poetów starszego pokolenia, jak Swietłow, Ługowskoj, Kirsanow i in., w wieczorze brali udział debiutanci — studenci Instytutu Literackiego. Tematyka odczytanych wierszy była bardzo różnorodna — od aktualno - politycznej, poprzez dyskusyjno - filozoficzną (np. ciekawy utwór Kirsanowa „O prostocie"), obyczajową, krajobrazową, aż do najintymniej lirycznej (wiersze Baukowa, Oszanina, Żurawlowa). Zwracały uwagę częste akcenty humoru i satyry (np. w bardzo zabawnej „Nocy noworocznej" Swietłowa).

Owacyjnie powitano przybyłego na wieczór Nazima Hikmeta. Odczytany przez tłumaczkę Muzę Pawłową wiersz Hikmeta — namiętny apel do tureckiego żołnierza na Korei — wywarł na wszystkich obecnych duże wrażenie.

Wydaje się, że i u nas warto by było organizować od czasu do czasu podobne „wieczory jednego wiersza". Mogą one stanowić interesujący przegląd sił sekcji poezji, przekrój aktualnych tendencji, poszukiwań, osiągnięć doświadczonych i początkujących poetów.

W. W.

## Książki polskie w ZSRR

wydane zostały po wojnie w łącznym nakładzie ok. 7 milionów egzemplarzy. Obok klasycznych utworów polskiej literatury, przełożonych zostało na języki narodów radzieckich wiele dzieł współczesnych polskich pisarzy.

W Moskwie podjęto zbiorowe wydanie prac Mickiewicza w nakładzie 30 tys. egzemplarzy. Ukazał się już trzeci tom tego wydania. Ukazał się również wybór pism Słowackiego, zawierający najważniejsze utwory dramatyczne, poematy oraz 53 wiersze poety. Wydano również bajki oraz niektóre poematy i pisma Krasickiego. W masowych wydaniach pojawiły się na półkach księgarskich przekłady opowiadań Prusa, Orkana i Sienkiewicza. Jako osobna pozycja wydany został „Faraon".

Spośród prac polskich pisarzy współczesnych ukazały się m. in. utwory Broniewskiego, Tuwima, Boguszewskiej, Bobińskiej, Rymkiewicza, M. Brandysa i in. W ostatnim, listopadowym numerze czasopisma „Zwiezda", ukazał się przekład książki Mariana Brandysa „Początek opowieści", uprzednio wydane zostały w przekładzie rosyjskim „Spotkania włoskie".

Obok przekładów, ukazują się antologie, poświęcone literaturze polskiej. Ciekawą pozycją jest tu dwutomowe wydanie „Wypisów z literatury polskiej XIX i XX w.", którą ukazało się w języku polskim i służyć ma do celów naukowych.

Przekłady obejmują nie tylko język rosyjski, ale również języki poszczególnych republik radzieckich. Wydany został przekład Mickiewicza na język gruziński, „Chłopów" Reymonta przetłumaczono na ukraiński, opowiadania Sienkiewicza ukazały się po fińsku.

Wydania polskich autorów cieszą się w ZSRR dużą poczytnością.

## Antologia współczesnej poezji polskiej w Czechosłowacji

Antologia współczesnej polskiej poezji postępowej ukazała się w tych dniach na półkach księgarskich w Pradze. Antologia obejmuje twórczość najwybitniejszych poetów polskich od początku XX wieku do czasów obecnych. Wśród nazwisk 30 poetów, których wiersze znajdują się w antologii, spotykamy nazwiska Broniewskiego, Tuwima, Jastruna, Iwaszkiewicza, Ważyka, Słonimskiego, Woroszylskiego, Kubiaka, Brauna i inn. Antologię zredagowali J. Pilar, wybitny tłumacz poetów polskich na język czeski, krytyk Jar. Zavada i Erich Sojka, tłumaczenie przeprowadzili A. Hoffmeister, J. Pilar, J. Rumler, Z. Skyba i E. Sojka.

## Książka Włodzimierza Sokorskiego po czesku

*Książka ministra Kultury i Sztuki Włodzimierza Sokorskiego „Sztuka w walce o socjalizm" pojawiła się w języku czeskim. Książkę wydał Instytut Wydawniczy Ceskoslovensky spisovatel, tłumaczył Erich Sojka.*

## Przekazanie nagród stalinowskich pisarzom węgierskim

W dniu 25 października b.r. w Ambasadzie ZSRR w Budapeszcie odbyła się uroczystość przekazania Nagród Stalinowskich pisarzom węgierskim Tamasowi Aczel i Sandorowi Nagy.

W imieniu Komitetu Nagród Stalinowskich przy Radzie Ministrów ZSRR nagrody wręczył laureatom Ambasador ZSRR w Budapeszcie, J. D. Kisielow.

Na uroczystość przybyli: minister Obrony Narodowej Węgierskiej Republiki Ludowej Mihaly Farkas, minister Spraw Zagranicznych Karoly Kiss, członek Komitetu Politycznego Węgierskiej Partii Pracujących, Marton Horvath, minister Oświaty, prezes Związku Literatów Węgierskich Jozsef Darvas i inne osobistości reprezentujące organizacje kulturalne Węgier.

Tomasz Aczel otrzymał nagrodę za powieść „Pod skrzydłami wolności" (która jest obecnie tłumaczona na język polski), Sandor Nagy za nowelę „Pojednanie". Powieść „Pod skrzydłami wolności" daje obraz ostrej walki klasowej. Akcja powieści toczy się w środowisku robotniczym. Nowela „Pojednanie" przedstawia obraz życia nowej wsi węgierskiej. Opisuje dolę biednego chłopa, kształtowanie się jego świadomości klasowej na drodze pracy zespołowej i spółdzielczej.

W przemówieniu na uroczystości wręczenia nagród ambasador Kisielew powiedział: „Swoje sukcesy Tomasz Aczel i Sandor Nagy osiągnęli dzięki głębokiemu studiowaniu nowego życia, pilnemu i wytrwałemu uczeniu się na przykładzie przodującej literatury świata — literatury radzieckiej, dlatego dzieła ich są i będą pomocne walce o pokój, w budowaniu szczęśliwego życia węgierskiego ludu".

E. M.

## Polianow — rewolucyjny poeta bułgarski

W październiku b.r. obchodzone było w Bułgarii 75-lecie urodzin narodowego poety D. I. Polianowa.

Imię Polianowa pojawiło się w literaturze w 90-ych latach ubiegłego wieku, w okresie rosnącego rozwoju ruchu robotniczego w Bułgarii. Twórczość jego stała się od początku bronią w walce o sprawę proletariatu.

Polianow w swoich wierszach krytykuje społeczeństwo kapitalistyczne i wzywa robotników do walki o wyzwolenie spod jarzma wyzyskiwaczy. Realizm, prostota i głęboka partyjność jego wierszy powoduje, że są one bliskie ludowi.

Tomiki jego młodzieńczych wierszy to m. in. „Narodziny proletariusza", „Drzewo śmierci". Wiersze tych tomów, budzące świadomość klasową robotników, głoszące idee socjalistyczne, pełne są głębokiej wiary w lepszą przyszłość, w przyszłość świata socjalistycznej sprawiedliwości.

Inne tomiki jego wierszy to „Morskie krople", „Żelazne wiersze" oraz wydane po 1944 r. „Wiersze zebrane" i „Gołąb pokoju".

W okresie rządów kapitalistycznych Polianow jako redaktor postępowych gazet i czasopism („Iskra", „Początek", „Sprawa", „Przegląd literacki", „Nowe dni", „Kuźnica" i in.) grupuje wokół siebie i wychowuje w rewolucyjnym duchu grono młodych poetów i postępowych pisarzy.

Po wyzwoleniu Bułgarii spod jarzma faszyzmu i kapitalizmu, Polianow uczestniczy w budowaniu socjalizmu. Jego wiersze po 1944 r. mówią o budowie szczęśliwego życia i walce o pokój. Za walkę z faszyzmem i aktywność społeczną Polianowowi została przyznana nagroda im. Dymitrowa.

M. C.

## SPROSTOWANIE

Do numeru 47 (139) „Nowej Kultury" wkradł się wyjątkowo przykry błąd. W artykule Ewy Korzeniewskiej „Ze studiów nad ideowym podłożem „Nocy i dni" str 4 szpalta 1, akapit 3, wiersz 6 od dołu w cytacie pracy Józefa Stalina „Zagadnienia leninizmu" zamiast słów „Klasy *panujące* krajów kapitalistycznych starannie unicestwiają lub pozbawiają wszelkiego znaczenia ostatnie resztki parlamentaryzmu i demokracji burżuazyjnej" wydrukowano błędnie „klasy pracujące krajów kapitalistycznych..."

*

W numerze 48 (140) „Nowej Kultury" przy reportażu Jakuba Prawina pt. „Stalingrad" na str 4-ej nie zaznaczono, że jest to dokończenie z numeru poprzedniego.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32 I p. Tel 7 36 23. Adres administracji: W wa, ul. Wiejska 12, tel 7 52 50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W wa, Poznańska 38, konto PKO I 5589/111, tel. 7 38 05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.

2-B-28088